ROK I. Nr. 24. 7 lipca 1929 r.

7 DNI

CENA 50 GR

Rejentalnie stwierdzony nakład: 30.000 egzemplarzy.

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



NAJPIĘKNIEJSZE DZIECKO POLSKIE ODSZUKAJĄ CZYTELNICY „SIEDMIU DNI"!
Może jeszcze piękniejsze, niż przemiły „Bobuś" (Fot. „Kolos"), który wdzięczy się do nas na tej fotografji. P. szczegóły w artykule K. Makuszyńskiego na str. 2 tego numeru.

Kornel Makuszyński

Szukajcie dziecka

Jest to hasło szczerze polskie, które zdjąłem z afiszu Letniego Teatru, kiedy tam grano komedję pod tym tytułem; na francuskiej okładce powieści Clement Vautela, widnieje powieszony bocian, nadworny dostawca, a powieść nazywa się: „Pani nie chce dziecka". A my chcemy dzieci i szukamy dzieci. Wprawdzie czasem zjawia się dziecko, którego się wcale nie szukało, albo znajduje się je na schodach z karteczką, kłopotliwe takie wypadki są jednak nieznaczącemi drobiazgami wobec nagminnego zapału, który sprawił, że ludność w naszym żyznym kraju powiększyła się w krótkim czasie o całe trzy miljony. Może u nas zbraknąć mięsa, wódki, gotówki, butów, kapeluszy, ale nigdy nie zbraknie dzieci. Rodzą się one w czasach dobrych, dlatego, że czasy są dobre, rodzą się w szybszem jeszcze tempie w czasach złych, dlatego, że czasy są złe. Jak pijak znajdzie zawsze powód wyborny do wypicia, tak Polak ma zawsze pretekst do pomnożenia liczby ludności. Jest to jedyna może funkcja obywatelska, w której okazujemy znakomitą i podziwu godną wytrwałość. Ba! cały świat nam tego zazdrości! Nikomu się jednak na kontynencie nie udało i, daj Boże, nie uda zdystansować nas w tym względzie. Gdzieindziej umieją budować lepsze maszyny, znakomite samochody, kunsztowne zegarki, ale takie dzieci jak u nas nigdzie się nie udają, a to chyba większa sztuka, niż masowy wyrób samochodów. Ha! ha! Doszliśmy w tej cudownej sztuce do takiej doskonałości, że skłonny jestem do podejrzeń, że odbywa się to u nas przez radjo. Czasem także się ma wrażenie, że opowiedziane przez znakomitego francuskiego pisarza niesłychane zdarzenie, o tej panience, co jedynie mocą przewidzenia, usiadłszy tylko na temsamem krześle, na którem siedział pożądany przez nią mężczyzna, poczuła się w stanie błogosławionym, — nie jest u nas niczem nadzwyczajnem. Na dobrą sprawę, każda nasza panienka potrafi to, jeśli tylko bardzo zechce. Taka w nas siedzi siła rozrodcza i takie pragnienie posiadania potomstwa. Bardzo słusznie! Im nas więcej będzie, tem będzie lepiej. Od przybytku głowa nie boli. Tam, gdzie jest dziewięcioro, tam się także pożywi i dziesiąte. U nas jest pod tym względem taka lubość aury, że nawet ten pan Malhus, co swoją głupawą receptą na system dwojga dzieci wyludnił Francję, miałby u nas dwanaścioro. Zaprzęglibyśmy utopistkę do roboty i wtedy mógłby ocenić, pracując w zdrowym i bujnym kraju, o ile wyższą jest szeroka praktyka od ciasnej teorji.

Rzecz cała w tem, żeby jakość odpowiadała ilości. Prośmy wszyscy Boga, aby dzieci nasze były zdrowe i piękne; a najgorzej prośmy o te, które urodzone w mroku suteryn, rosną w nędzy ulicy, o te najbiedniejsze, najmilsze, najbardziej pokrzywdzone; o te stworzonka drobne, płowe, niebieskookie, cichutkie, smutne i głodne, o te ptaki, które niebo łaskawe cudem jakimś karmi. Gadam zawsze z nimi przebyć. Ponieważ, niestety, piersi bym je wszystkie przytulił, sieroty najdroższe. Niech tak każdy uczyni, a każda matka, co własne nakarmiła dziecko, niech nakarmi inne, cudze, którego nikt nie karmi.

Gdyby wszystkie dzieci w Polsce były zdrowe, byłby to kraj, najbardziej na ziemi radosny. Niema piękniejszego cudu Boskiego nad zdrowe, piękne dziecko. Niema radości większej, jak jego radość, cudowniejszego uśmiechu na uśmiech dziecka. A czy jest rozmowa milsza, nad tę, którą się godzinami wiedzie z głupawym, dziwnym brzdacem, który ma niezmierne zmartwienie, chcąc się dowiedzieć, z czego się np. „robi słońce?". Milszem od ślicznego dziecka może być tylko dziecko brzydkie, tem więcej kochane, im brzydsze. Wiem to z własnego doświadczenia, bo chociaż dzisiaj uchodzę za jednego z najprzystojniejszych mężczyzn Europy (nie mówię o kawiarni, tylko o części świata!) — jednak jako dziecko miałem wygląd tak dziwnie osobliwy, że na mój widok ludzie się żegnali, a psy żałośnie wyły. Na dobrą sprawę przeto, niema dzieci brzydkich, chyba, że się szelma uprze. Każde dziecko tem się odznacza przedewszystkiem, że jest najpiękniejsze na świecie. Naprawdę najpiękniejszem dzieckiem jest tylko Jacuś Grubiński, co nie jest żadną jego zasługą, jeśli się ma takich rodziców, ale wyjątków żadnych robić nie można wobec oczywistego faktu, że każda matka na świecie da słowo honoru, że najpiękniejszo jest jej dziecko i o, dziwo! — wszystkie mają rację. Każda matka zawsze ma rację i to jest cudne.

Redakcja „Siedmiu dni" ma zamiar znalezienia najpiękniejszego w Polsce dziecka; jest to ze strony tejże redakcji, wyraźny obłęd, bo będzie musiała wymalować wszystkie dzieci w Polsce, co potrwa lat trzydzieści, że zaś przez ten czas narodzi się tego drobiazgu znowu parę miljonów, więc znów dość długo to potrwa, tak, że dziecko, które „stanęło do konkursu" w r. 1929 otrzyma nagrodę w r. 1960, kiedy będzie miało brodę i swoje własne dzieci. Na obłęd jednak niema lekarstwa i konkurs się odbędzie. Nie od rzeczy jednak będzie, jeśli, jako człowiek, który kiedyś był dzieckiem, udzielę parę dobrych rad wszystkim mamom. Mają one nierozsądny zwyczaj posyłania swoich dzieci na konkursy, fotografując je w dziwacznych pozach, sztucznych i wcale głupawych. Każe matemu Tadziowi smętnie oprzeć głowę na ręce, jakgdyby miał wielkie zmartwienie, i patrzeć smętnie, hej! hej! — w dal. Tedy mały Tadzio, który jest miły chłopiec i rozkoszny wisus, wygląda, jak kretyn i kiepski szczur. Kazia stroją w wymuskane ubranko, z kołnierzem a la Słowacki, do którego (kołnierza, nie Słowackiego) przyznały się wszystkie eleganckie puryce i Kazio musi stroić różne miny, w których się gubi jego łobuzerski uśmiech i śliczne dzieciństwo.

Gorzej jest jeszcze z panienkami; mała dziewczynka jest to takie cudo, (większa czasem też), że niekiedy więcej nie potrzeba, tylko odfotografować ją w stanie najrozkoszniejszej naturalności. A tu przyjdzie jedna ciocia, druga ciocia, babka i znajoma babki i zaczynają radzić, a stroić biedactwo, a krysować, a głaskać włoski, a przypinać wstążeczki i szarfę, że cudne dziecko zmienia się w pretensjonalną małą heterę. Zbytnia gorliwość zawsze zatłamsi wdzięk i urok. Starsze panie chcą robić wszystko na swój manjer i myślą, że dziewczynka to już kobieta. Największa prawda o dzieciach jest to, że dziecko jest dzieckiem i niczem więcej; ani małym człowiekiem, ani małą kobietą.

Starsze panie, które fotografują się na użytek publiczny, toż zawsze siebie krzywdzą; zamiast pokazać miłą twarz w najnaturalniejszej postaci, robią z niej dziwaczną gębę. Gęba się wykrzywia, stawia oczy w słup i to się nazywa: „Zadumana". Albo się nazywa: „Niespodzianka". Jaka niespodzianka, tych kilkadziesiąt zębów? Nie należy tak fotografować dzieci. Chłopak niech będzie taki, jak na codzień, z rozwichrzonym łbem, bystro patrzący, czy niema czego w pobliżu, coby pożarł, albo przyjemny łobuz, albo niby poważny skaut, uroczy w swojej dostojności. Dziewczynka niech będzie, jak poranek, bez sztucznych uśmiechów, loków i fiołków, jak primadonna, albo podstarzała ciotka, co szuka męża.

Z całą pewnością jednak, tą drogą najpiękniejsze dziecko nie zostanie odnalezione. Z wielu powodów. Najpiękniejsze dziecko chowa się może tam, gdzie nigdzie nie widziano fotografa, ani nigdy o żadnym nie słyszano konkursie; jest to pewnie śliczny berbeć pięcioletni, co ma niebieskie oczy, włosy, jak zboże i w portkach po ojcu, zawiązanych pod szyją, pasie gęsi; albo jest to może dziewczynka, tak piękna, jak obrazek, w połatanej sukienczynie nosząca ojcu obiad obiad do kopalni. Może mieszka na Solcu, albo pod Zakopanem, albo z całą nawet pewnością, we Lwowie.

Trudno je będzie znaleźć i dlatego przedewszystkiem, że fotografja jest to mądry wynalazek, ale bezduszny. A nie to dziecko jest najpiękniejsze, które przypomina różowego aniołka, lecz to, które ma duszyczkę prześliczną, wstającą przez oczy, śmiejącą się przez usta, latającą w każdem słowie, mieszkającą w dobrem, słodkiem serduszku. A jakże odfotografować serce? Jak odfotografować serdeczne dziecięce zmartwienie, albo szczęśliwy uśmiech? Jak odfotografować szczebiot, którego słuchając, Pan Bóg się uśmiecha? Brzydkie dziecko umie być takie śliczne, jak nikt na świecie.

Trudno jednak. Trzebaby chodzić na włóczęgę z gromadami dzieciaków, gadać z nimi godzinami i grać z nimi w guziki; trzebaby się zapisać do szkoły, do wstępniaków i długo tam z nimi przebyć. Ponieważ, niestety, tego uczynić nie można, trzeba użyć jedynego sposobu: fotografji.

Aha! jeszcze jedno; nie należy mówić dziecku, że bierze udział w jakimś konkursie; starzy się bawią i chcą się koniecznie dowiedzieć, gdzie jest najpiękniejsze dziecko, — niech im będzie! — ale dziecko niech o tem nie wie.

Byłbym niepocieszony, gdyby laureatem takiego konkursu został jakiś przemyślny „swawolny Dyzio", mały opryszek zatruwający życie wszystkim, razem z nieszczęsnym psem, którego oblewa atramentem; taki, to zwykle jest ładny i umie, szelma, zrobić do fotografji minę słodkiego niewiniątka. Takiego trzebaby sprać przed konkursem i po konkursie i poza konkursem. Ja, osobiście, dałbym złoty medal jednej dziewczynce i jednemu chłopczykowi; dziewczynce za to, że kiedy zrobiła siusiu w majteczki, zrobiła nadąsaną minę i skarcona, odrzecze:

— To nie ja zrobiłam, to mi Staszek zrobił!

O, kobieta!

A jeden mój znajomy chłopczyk, wielki artysta, wart jest odznaczenia za niezmierną mądrość. Narysował on sobie prostą linję, nad nią krzywą linję, a nad nią umieścił kropkę.

— Co to jest, — zapytali go, — ta prosta linja?

— To jest rzeka...

— Doskonale! A ta krzywa?

— Ta krzywa? To jest most...

— Aha! A co to przechodzi przez most?

— To... to... przechodzi ludzkie pojęcie.

Nagrodę wielką poza konkursem dałbym jednemu chłopaczkowi ze Starego Miasta. Boże, co to za figura! śliczny opryszek, żywy, energiczny, wojowniczy, zabijaka. Ma z pięć lat, a od dwóch lat, grywa w jakąś łajdacką grę w klubie na Kanonji za Katedrą. Ograł już całe Stare Miasto, wszystkie pióra i guziki. Ponieważ często tamtędy przechodziłem, byłem traktowany przez niego i przez całą jego bandę, jako kapitan klubu. Raz jeden, łajdactwo czyniąc w stosunku do pedagogji, zaproponowałem mu partję o dziesięć groszy; rzuciłem je o mur, poczem mały Oliver Twist rzucił swoje, pożyczone odemnie: upadły na moją monetę, co do milimetra...

„7 DNI" OGŁASZA WIELKI KONKURS

Najpiękniejszego dziecka polskiego

DOSTĘPNY DLA WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW

Liczne cenne nagrody

Szczegóły i warunki zostaną podane w następnym, 25-ym numerze „SIEDMIU DNI"


Hiszpański lotnik major Franco wystartował zupełnie nieoczekiwanie do lotu do Nowego Jorku.


Sidney Webb, dotychczasowy sekretarz kolonji zamorskich, otrzymał tytuł lorda Passfield.


Najpiękniejsza Polka w Ameryce, uzyskała zaszczytny tytuł „Miss Polonia" bijąc zwycięsko 450 konkurentek.


Kingsford Smith podjął się znowu dokonania przelotu na „Krzyżu Południa" z Australji do Anglji.


Profesor Max Levy-Doru, jeden z najwybitniejszych rentgenologów doby dzisiejszej zmarł w wieku 66 lat.


Generalny inspektor armji gen. Maurin został ostatnio mianowany szefem francuskiego sztabu generalnego.


Dzięki energji komitetu sprowadzenia zwłok generała Bema, prochy bohatera, po tryumfalnem przejeździe przez Węgry i Czechosłowację przybyły do Krakowa, skąd po specjalnych uroczystościach zostaną przewiezione do Tarnowa. (Aj. Światowid)


W Spale odbyły się w obecności Pana Prezydenta zawody organizacyj P. W. Na fotografji widzimy moment wręczenia nagrody najlepszej zawodniczce p. Kwaśniewskiej, przez p. kapitanową Kopelewską. (Fot. Machowski)


W niedzielę, w Warszawie odbyła się uroczystość 50-lecia W.T.W. Na fotografji widzimy pochód członków W. T. W. składających wieniec na grobie Nieznanego Żołnierza. (Fot. Sitkowski)


Podczas obchodu 50-lecia W. T. W. odbyły się regaty na Wiśle. Oto dzielna czwórka pań, która w finale zajęła pierwsze miejsce. (Fot. Sitkowski)


Parę dni temu Paryż był terenem manifestacji byłych combattantów przeciwko ratyfikacji długów wojennych. Podczas wynikłej bójki zostali poturbowani prezydent i dyrektor policji paryskiej. (Wide World)


Dziesięcioletnią rocznicę traktatu wersalskiego obchodziły „pokojowe" Niemcy przy dźwięku surm bojowych. Na naszej fotografji widzimy defiladę sztandarów dawnych cesarskich pułków. (The New York Times)

Włodzimierz Perzyński.

Małżeństwo

Wiadomość, że pani Szwagierusowa wychodzi za mąż, wywołała w Halach Targowych niesłychane wrażenie.

Pani Szwagierusowa przez kilkanaście lat handlowała we własnej budce materjałami łokciowemi i gotową bielizną. Założyła ten interes za spadek po mężu, który prowadził restaurację na Solcu i tak był lubiany przez gości, że musiał umrzeć na delirium tremens. Mógłby zostawić dziesięć razy więcej, gdyby pieniędzy nie przepijał i nie rozpożyczał między klientów, po większej części, zawodowych złodziei.



Pani Szwagierusowa była to osoba wysoka, pełna, która tem się odznaczała, że miała wszystkie zęby złote. W halach i w okolicznej dzielnicy cieszyła się wielkim mirem. Służące kupowały u niej koszule i majtki. Pani Szwagierusowa nie mówiła nigdy majtki. Trywialny ten wyraz zastępowała francuskim terminem „kombineski".

Nie dopuszczała żadnych zastrzeżeń.



— Drogo panience — uśmiechała się szyderczo, kiedy jakaś służąca probowała się targować. — To proszę gdzieindziej. Wolna droga. U mnie szyte nie jak na nieboszczyka łapu, capu. I nie taka krótosa i wązota, co to pęka na człowieku. Szwy się nie poprują w takiej bieliźnie. A opuścić nie mogę, bobym się *skompremitowała.*

Pani Szwagierusowa tak to mówiła, że onieśmielała najbardziej harde temperamenty. Kupowano i płacono.

Przez cały tydzień pracowała od świtu do nocy. W niedzielę ubierała się w jedwabną czarną suknię, kapelusz ze strusiemi piórami i szła do kościoła. W zimie imponowała wspaniałem okryciem z prawdziwej imitacji karakułów. W lecie po obiedzie przesiadywała całe popołudnie w oknie i z zaciekawieniem wyglądała na ulicę. Mieszkała nawprost hal i miała przed oknami własny stragan. Urozmaicenie stanowiło to, że codzienny widok oglądała z przeciwnej strony. Zresztą, gdy wszystko było zamknięte świat wydawał się zupełnie inny. Pusty i nudny.

Pewnego dnia, pani Szwagierusowa obudziła się z nieokreślonym bólem w prawym boku. Z początku nie zwróciła na to uwagi. Ale, po kilku tygodniach, gdy bóle nie mijały postanowiła wybrać się do lekarza. Kilka następnych tygodni upłynęło jej na dowiadywaniu się do kogo warto było iść, żeby dobrze poradził i nie oszukał. Wreszcie, wybrała się do wróżki, która dała jej odres znachora.

Znachor się znał na chorobach. Nawet na nią nie spojrzał. Ledwo stanęła we drzwiach krzyknął:

— Wątroba!

I przepisał jej jakieś ziółka badawcze. Po tygodniu pani Szwagierusowa czuła się tak zdrowa, jak nigdy. Ale po dwóch tygodniach wróciły jej bóle. I było coraz gorzej. Traciła humor, myliła się w rachunkach, nie chciało jej się z klientkami rozmawiać.

Odwiedził ją kum z Wołomina i radził:

— Znachorom wierzyć nie można, a doktorom także.

— Więc komu wierzyć — zafrasowała się znękana pani Szwagierusowa.

— Nikomu. Na to Pan Bóg dał człowiekowi rozum, aby nikomu nie wierzyć. To wszystko od wilgoci. Niech pani sprzeda budkę, bo panią djabli wezmą. A na wątrobę najlepiej się napić od czasu do czasu. I broń Boże piwa. Tylko wódkę.

Pani Szwagierusowej trafiło to do przekonania. Sprzedała budkę i zaczęła pić wódkę. Nie pomogło. Po kilku miesiącach zwróciła się do lekarzy. Leczyła się dwa lata. Straciła prawie wszystko co miała.

I wtedy, jak z nieba trafił się konkurent. Geniek, syn dozorcy z żydowskiej kamienicy. Był to dziewiętnastoletni szczupły blondyn, który mieszkał przy rodzinie i zajmował się drobnemi kradzieżami. W tym kierunku wyrabiał sobie nawet powoli specjalność. Okradał wozy, owocarzy i zieleniarzy, jadących do miasta. Pani Szwagierusowa dzięki doświadczeniu, nabytemu w restauracji na Solcu, znała wszystkie odmiany złodziejskiego rzemiosła i nie uważała, aby skromna specjalność Geńka była gorsza cd innych.

Przyjaciółki starały się odwieść panią Szwagierusową od szalonego kroku.

— Z chorą wątrobą wychodzić za mąż i to za takiego jeszcze...

Pani Szwagierusowej nie przekonywało to wcale.

— Umrę, to umrę, ale co sobie z młodym chłopcem użyję, to użyję.

Na Geńka również starali się wpłynąć koledzy i niechęcić go do małżeństwa.

— Poco ty się, głupi, będziesz ze starą babą żenił. Pieniędzy już niema.

Geniek uśmiechał się chytrze.

— A zęby to nic? Tyle złota w gębie. Przecież do trumny ze sobą nie zabierze.

I pani Szwagierusowa wyszła za mąż za Geńka. Nie wiele użyła, bo na drugi dzień po ślubie zamknięto go w więzieniu. Geniek zębów nie dostał, bo gdy odzyskał wolność pani Szwagierusowa już dawno była pochowana. Oboje przeliczyli się na małżeństwie...

Dwie sportswomenki



„Fishing" jest ulubionym sportem anglosasów. Kobieta jednak nigdy nie przestaje być kobietą. Oto widzimy na naszej ilustracji zalotną rybaczkę, która chce zwabić płotki i karasie czarem swej pudrowanej buzi. (Wide World Photos).



Mrs Marshall Wield, nieustraszona podróżniczka, która przy boku swego męża odbyła wielką i pełną niebezpieczeństw wyprawę w głąb dżungli brazylijskiej, gdzie m. inn. celnym strzałem zabiła wspaniałego jaguara wagi 175 klg.

Monsieur Coty

Historja, napozór jakich wiele.... Bo oto przed kilkoma laty znany w Paryżu wytwórca perfum, Coty zaczął zajmować się wydawaniem dziennika. Wzruszono w pierwszej chwili ramionami — boć łatwo było się domyśleć że chodziło tu prawdopodobnie o przygotowanie sobie gruntu do wstąpienia na widownię polityczną.



François Coty, alias François Spoturno

Wzruszono ramionami, kiedy się okazało, że dziennik ten, nawskroś demagogicznie nazwany przez eleganckiego perfumiarza — „L'ami du peuple" („Przyjaciel ludu"), rzucony jest na rynek za cenę o połowę niższą od wszystkich innych gazet codziennych.

— Fantazja! Stać go na to... — mówili nawet inni wydawcy, spodziewając się, iż gra obliczona jest na krótką metę, najwyżej do przyszłych wyborów, na których Coty pragnie ubiegać się o mandat.

Lecz miny wkrótce zrzedły, gdyż miesiące upływały za miesiącami, a Coty wytrwale podnosił ilość nakładu, zdobywając sobie dość liczne rzesze czytelników. Wszczęto polenikę. Wywołano bojkot ze strony sprzedawców gazet — Coty zaś odpowiedział na to stworzeniem własnej organizacji sprzedaży. I walka rozpoczęła się na dobre, podsycona miljonami franków.

Król perfumiarzy począł prowadzić akcję na coraz szerszą skalę. Oto wypowiada się przeciw najzasłużeńszym we Francji mężom stanu, nawiązuje kontakt z zagranicą składając przedziwne, jak na Francuza i nowo kreowanego publicystę, oświadczenia. Broni więc Niemców i entuzjazmuje się nimi, chwaląc politykę angielską, domaga się spłaty długów Stanom Zjednoczonym, proponuje Włochom kolonje francuskie. Jeździ po wszystkich stolicach świata, konferuje z Chamberlainem, z Mussolinim, agituje bez przerwy, dokładając miljony franków na tę niezwykłą akcję.

Stać go na to — zwłaszcza że, zarabia równocześnie. — Oto powstają w różnej postaci agendy jego za Oceanem, w Szwajcarji, w Niemczech, w Anglji — oto narastają poza granicami kraju zdaleka od kontroli „złośliwego" fiskusa nowe dochody, pachnie „Origanem" na całej kuli ziemskiej.

Jedynie we Francji zaczyna tracić grunt pod nogami — powiedzmy skromnie, — coś tam „nie pachnie"...

Kampanja wyborcza, w której Coty bierze udział, kandydując do senatu z Korsyki, przynosi mu wprawdzie 6 głosów większości nad innymi. Okazuje się jednak, iż setki świadków zeznaje publicznie, iż proponowano im znaczne kwoty pieniężne za głos; okazuje się, iż Coty jeździł osobiście do słynnego bandyty korsykańskiego Romanetti celem zjednania sobie jego wpływów... Wiadomości o różnych tych postępkach, dochodzą do Paryża, gdzie, po wdrożeniu ścisłego śledztwa, unieważniają wybór.

Sensacyjne rewelacje wciąż nam wyjawiają nowe szczegóły. Co ty stara się sta stanąć na czele najpotężniejszych grup opozycyjnych. Kupuje jednego z jej przywódców, Valois, stara się wnet przekupić drugiego, Maurrasa, jątrzy obu przeciw sobie, rozbija jedność, zdobywa zdawałoby się, bojówki któremi rozporządzają, wzmacniając te siły organizacją byłych uczestników wojny. Stara się w dalszym ciągu przekabacić na swą stronę władze, strzegące porządku publicznego, obdarzając wspaniałą fundacją policję.

Czy nie myśli o dokonaniu przewrotu publicznego? Wszak niejednokrotnie podnosił głos przeciw Konstytucji, a gdy mowa była o stworzeniu t. zw. „funduszu amortyzacyjnego", któryby ocalił finanse Francji, pragnął, by organizacja ta podlegała władzy ofiarodawców, deklarując jednocześnie kilka miljonów franków, celem zabezpieczenia sobie największego głosu. Kiedy atoli Poincaré postawił na swojem, zastrzegając wyłącznie rządowi rozporządzanie funduszem, ofiarny Coty wycofał się z akcji i... nie dał ani grosza.

Próba dyktatury finansowej zawiodła!

Perfumiarz zaciska pięści, nastawia sztab swych redaktorów przeciw rządowi, nikogo nie szczędzi, — on, korsykańczyk, ziomek Bonapartego!

Coty stwarza wciąż nowe pomysły. Oto nosi się z zamiarem założenia przy redakcji innego organu prasy, którym również zagarnął, w starem „Figaro", czegoś w rodzaju Rady Obrony Narodowej.

Wolne żarty! Przesada!

A jednak coś w tem jest. Boć jeśli w stosunku do Stanów Zjednoczonych lub do Niemiec, mógł wygłaszać przeróżne oświadczenia, któreby miały wpływ na podniesienie zbytu perfum, czy też maskowałyby inne jego zamiary i kombinacje finansowe — czegóż ten człowiek spodziewa się naprzykład po nas, w Polsce? Na cóż wyrzucać pieniądze, propagować w Warszawie gazetę drogą sprzedaży ulicznej przez umundurowanych chłopców i olbrzymie płachty plakatów?

Wykwintny perfumiarz — przyjacielem ludu!... Warchoł — dorobkiewicz — marzący o przewrocie politycznym!... Spoturno, alias Coty — w roli Bonapartego!



Czytajcie! Czytajcie! „L'Ami du Peuple", największe pismo francuskie, organ króla perfumiarzy, przyjaciela Polski! Sprzedaż we wszystkich kioskach warszawskich

Nieczytelny list

Pan Kahlbach, jeden z najlepszych adwokatów w naszem mieście, pewnego wieczoru opowiedział w klubie następującą historję o nieczytelnym liście:

Byłem jeszcze młody i praktyką zajmowałem się dopiero od niedawna. To też znano mnie bardzo mało, a i klientów miałem niewielu. Jednym z tych nielicznych był dziwak, niejaki doktór Bronsiłow, starszy pan, zajmujący się głównie historycznemi wykopaliskami. Czemu ten człowiek przyszedł ze swemi sprawami akurat do mnie, tego sam nie wiem; prawdopodobnie dlatego, że musiał mieć adwokata niezbyt zajętego, który miałby czas wysłuchiwać jego częstokroć dość długich wyjaśnień.

Wygrałem dla niego parę procesów, przeważnie dotyczących praw własności starożytnych wykopalisk. Płacił bardzo szczodrze; krótko mówiąc, pan Bronsiłow był klientem, którego ogromnie ceniłem.

Pewnego ranka otrzymałem od niego list; otworzyłem go szybko, aby przeczytać. Lecz okazało się to niemożliwem. Do tej pory wszystkie sprawy omawialiśmy zawsze ustnie, to był jego pierwszy list. Zacny ten człowiek mógł list swój równie dobrze napisać hieroglifami lub pismem klinowem: ani jednego słowa nie można było odcyfrować. Przypuszczalnie, treść górnego wiersza była „Szanowny panie Kahlbach" lub coś podobnego, dalej jednak nic nie mogłem odczytać. Gdyby zaś u góry nie było wydrukowane nazwisko Bronsiłowa, nie wiedziałbym nawet, od kogo pochodzi ta dziwaczna bazgranina.

List ów brałem tego ranka w rękę przynajmniej ze dwadzieścia razy, powtarzając sobie, że jest to doprawdy bardzo głupie, aby jeden człowiek pisał list, którego drugi nie może przeczytać. Cokolwiek jednak robiłem, wszystko było daremnem. Wreszcie poszedłem do znajomego, który zna się na grafologji, i położyłem przed nim list. I on uważnie go studjował, wziął najpierw małe szkło powiększające, potem duże. Lecz też wiele nie przeczytał. Powiedział tylko:

— Zdaje mi się, że tu jest napisane słówko „ja" i patrz sam, czy to nie znaczy „w dole" czy „w kole" czy coś podobnego?

Takie niejasne wskazówki nie na wiele mi się przydały i udałem się zpowrotem do biura. Ładna historja! Co tu robić?

Nagle wpadłem na wspaniały pomysł, taki prawdziwy moment jasnowidzenia, kiedy to chciałoby się podskoczyć z radości na parę metrów do góry. Postanowiłem iść z mym listem do aptekarza. Czyż aptekarze nie znani są z tego, że bez trudności odczytują najgorszą bazgraninę lekarzy, z której zwykły człowiek ani jednej litery nie rozumie? Aptekarz więc z pewnością potrafi odcyfrować, co doktór Bronsiłow miał mi do zakomunikowania.

Nie namyślałem się długo. Wszedłem do pierwszej lepszej apteki i z obojętnym wyrazem twarzy podałem list, jakgdyby to była zwykła recepta. Aptekarz przeczyta go i powie: „Ależ panie, pismo to nie ma nic wspólnego z moim fachem. Ten pan pisze, że tego to a tego dnia przyjdzie do pana, albo też że pan to a to ma zrobić dla niego, lub też coś podobnego".

A gdy się już tego dowiem, wówczas wyjaśnię wszystko aptekarzowi i spytam, ile mu jestem dłużny za jego nieocenioną pomoc.

Wiecie jednak, co się stało? Aptekarz popatrzał przelotnie na list, zmarszczył czoło, przelał coś z dużej butelki do małej, dodał jeszcze czegoś z innej butelki, mocno wstrząsnął i rzekł:

„Służę panu, tylko do użytku zewnętrznego, sześć guldenów pięćdziesiąt..."

Tłomaczyła J. Barell.

„Śluby panieńskie" w Teatrze Małym



P. Marja Modzelewska w roli Klary.



P. Marja Malicka w roli Anieli.

„Śluby Panieńskie" Fredry to jedna z najcelniejszych komedyj tego wielkiego pisarza. Bardzo też szczęśliwie się stało, że kierownictwo „Teatrów Szyfmanowskich" w Warszawie tem właśnie arcydziełem zainaugurowało festival ku czci Ojca Teatru Narodowego, Wojciecha Bogusławskiego.

Premjera „Ślubów" w Teatrze Małym zapowiadała się wręcz rewelacyjnie, przedewszystkiem dzięki znakomitej obsadzie. Obsada ta jednak mimo rzeczywiście najznakomitszych nazwisk aktorskich na afiszu i głębokiego pietyzmu „wszystkich razem i każdego z osobna", okazała się niezawsze najszczęśliwszą. Wydaje nam się również, że tło dekoracyjne zyskałoby na dyskretnem przyćmieniu barw. Wnętrze, w którem rozgrywała się akcja, miało zamało ciepła i przytulności idealnego dworku fredrowskiego.

Na czoło świetnych wykonawców wybiła się p. Marja Malicka w roli Anieli. Była tak szczerze dziewczęca, miała tak cudne momenty niekłamanej naiwności i najczystszego liryzmu, że jeśli nie przerywano jej co chwila huraganami oklasków, to tylko dlatego, by nie spłoszyć tego przedziwnego nastroju, który spływał ku nam ze sceny.



P. Stanisław Stanisławski w roli Radosta.

B. żywo i oryginalnie ujęła rolę Klary p. Modzelewska, traktując ją może zbyt współcześnie. Że p. Jerzy Leszczyński jest idealnym Gustawem — wiemy o tem już od tak dawna! Nowością było natomiast walne zwycięstwo p. Maszyńskiego w roli Albina. Jak zwykle inteligentnym i subtelnym był p. Stanisławski, odtwórca roli Radosta. P. Słubicka nieco zbyt oschle ujęła swą Dobrójską — dobry epizod starego sługi dał p. Bogusiński.

(j. p.)



P. Marjusz Maszyński w roli Albina.



P. Jerzy Leszczyński w roli Gustawa.

Co słychać na świecie?

Wiadomo, iż niedawno temu wyjechał do Rosji p. Devey, wysłany tamże z ramienia konsorcjum, które delegowało go swego czasu do Polski. „Na razie" sprawuje obowiązki pana Deveya w zastępstwie kto inny. Uważamy, że opinja polska nie może przejść do porządku dziennego nad tym faktem i dziwi nas milczenie dzienników w tej materji. Daje to dużo do myślenia i to tem więcej, iż nie jest to pierwsza ekskursja pana Deveya do „kraju komuny i bezprawia". Wątpimy, by powodem tak częstych wizyt było zasmakowanie we wspaniałych przyjęciach na Kremlu. W każdym razie przypomnijmy sobie, że specjalnie w ostatnich dniach zaprzecza się ze strony amerykańskiej ze specjalnym naciskiem, jakoby „nie było mowy" o uznaniu Sowietów przez Amerykę. Dziwi nas ta tajemnica, snująca się dokoła częstych wyjazdów p. Deveya do Rosji, w czasie gdy cały świat wie o rokowaniach Forda w sprawie założenia fabryki tamże i masowej produkcji samochodów. Jedno jest pewne: Polska nic nie może stracić na zbliżeniu gospodarczem rosyjsko - amerykańskiem. Przy odpowiedniem ujęciu sprawy może to być dla nas wcale lukratywnym interesem. Pytanie jednak jak zgodzą się z sobą te dwa biegunowo przeciwne ustroje ultrakapitalistyczny z komunistycznym.

* * *

W usiłowaniach uregulowania naszego życia wewnętrznego, uczyniliśmy ostatnio znowu poważny krok naprzód. Sfinalizowano mianowicie w ostatnich dniach narady z finansjerą zagraniczną w sprawie utworzenia Centralnego Banku Rolnego. Na jesieni spodziewana jest pierwsza emisja obligów długoterminowego kredytu. Sprawa ta ma pierwszorzędne znaczenie dla rozwoju rolnictwa w Polsce.

* * *

Cały świat święcił onegdaj rocznicę podpisania traktatu wersalskiego, będącego symbolem pokoju. Korzystając z tej okazji, wydał rząd niemiecki odezwę do narodu niemieckiego. Hindenburg okazał się i w tym wypadku nieodrodnym spadkobiercą tendencji Wilhelma. „Dzień ten, to dzień żałoby" — pisze on w odezwie. „Dziesięć lat minęło, kiedy niemieccy parlamentarjusze pokojowi musieli podpisać w Wersalu dokument, który *dla wszystkich przyjaciół państwa i prawdziwego pokoju(!) oznacza gorzkie rozczarowanie*". Z dalszych słów odezwy wypływa jasno, iż Niemcy uważają traktat za nieuczciwy i moralnie nie poczuwają się do obowiązku wypełniania go, żywiąc nadzieje, iż niedaleką jest przyszłość, w której poszczególne paragrafy traktatu zostaną poddane rewizji. Odezwa ta — to dokument cenny, tem cenniejszy, że podpisana została w chwili, gdy przedstawiciele wrogich ongiś państw Niemcom, zrobili wszystko, by ulżyć im w spłatach długów wojennych. Jeśli się zważy ponadto, iż ustawa o ochronie republiki nie została przedłużona przez Reichstag i w związku z tem czynione są przygotowania do wjazdu Wilusia do Niemiec — to chyba każdy snadnie może wywnioskować, iż Niemcy drwią sobie z całego świata i żyją — zupełnie zresztą jawną chęcią zemsty i odwetu.

* * *

W jednym z poprzednich numerów „7 DNI" poinformowaliśmy czytelników pokrótce o sytuacji w Chinach. Zgodnie z naszemi przewidywaniami okazało się, iż gen. Feng jest całkowicie po stronie Sowietów i dąży do wywołania przewrotu w Chinach. Ciekawą będzie rzeczą, jak na poczynania Fenga zareaguje Japonja, która ruchami w Chinach musi być zainteresowana już choćby dla bezpośredniego sąsiedztwa z tem państwem. Jak na razie, w kotle chińskim wre i ze strony rządu czynione są usiłowania sparaliżowania akcji zbuntowanego generała. Podobno nawet postanowił rząd przekupić gen. Fenga i skłonić go do opuszczenia Chin za cenę kilkuset tysięcy dolarów, któreby mu umożliwiły spłacenie długów i beztroskie życie za granicą. Być może, że akcja ta się uda, jeśli Sowiety... nie przelicytują rządu i nie przeciągną na swoją stronę „bohaterskiego" generała.

Ja...el.

Z DNIEM 1-go LIPCA r. b.
REDAKTOR NACZELNY „7 DNI"
Przyjmuje interesantów
w lokalu redakcji: ul. Marszałka Focha 2
(tel. 72-85)
w poniedziałki, środy i czwartki od g. 10 do 12-ej
we wtorki i piątki — od g. 18 do g. 19-ej
(oprócz dni świątecznych)

Święto 1 pułku strzelców konnych



Ks. dziekan garwoliński wygłasza kazanie po mszy polowej, odprawionej na błoniu. Podniosłe słowa kapłana wywarły głębokie wrażenie na słuchaczach, którzy przybyli z całego powiatu na uroczystość 1-go p. strzelców konnych

Obchód dziesięciolecia dzielnego 1 p. Strzelców Konnych, stacjonowanego w Garwolinie, wypadł nadzwyczaj okazale.

Na uroczystość przybył szef departamentu kawalerji M. S. Wojsk. płk. Zbigniew Brochwicz-Lewiński, b. dowódca V detaszowanego szwadronu 1 p. szwoleżerów, który był zawiązkiem pułku, dowódca 2-ej brygady kawalerji płk. St. Karnicki, przedstawiciele D. O. K. I, reprezentant biskupa polowego W. P. ks. Galla — ks. dziekan Buszyński, delegacje oficerów 1 p. szwoleżerów im. Marszałka Piłsudskiego, 10 p. strzelców konnych, 11 p ułanów, 15 p. p. i lotników z Dęblina oraz kilku dziesięciu oficerów i szeregowych rezerwy 1 p. strzelców konnych.

Płk. Brochwicz-Lewiński serdecznie witał się z oficerami pułku, którzy ocalałi z krwawych walk, jakie pułk toczył na froncie bolszewickim, a przedewszystkiem na Wołyniu.

Nabożeństwo odprawił ks. dziekan Buszyński, potem zaś ks. dziekan Juszczyk wygłosił do żołnierzy i zgromadzonej publiczności podniosłe kazanie.

Po nabożeństwie odbyła się defilada oddziałów przed płk. Brochwicz-Lewińskim, którą prowadził dowódca 1 p. strz. kon. ppłk. Zakrzewski z adjutantem pułku por. Edmundem Chojnackim. Publiczność witała defilujące w wyciągniętym galopie oddziały burzą oklasków.

W godzinach południowych ks. kapelan Truss dokonał poświęcenia świetlicy ufundowanej przez społeczeństwo, potem zaś w krytej ujeżdżalni pułku odbył się wspólny obiad żołnierski, podczas którego przemawiał ppłk. Zakrzewski, wnosząc okrzyk na cześć Pana Prezydenta Rzplitej i Marszałka Piłsudskiego, dalej płk. Brochwicz-Lewiński ks. Buszyński, mjr. Mularczyk, starosta Pirożek, burmistrz Dąbrowski i t. d. Serdeczny nastrój był dowodem głębokiego współżycia społeczeństwa z wojskiem, które poza swemi normalnemi zajęciami, bierze żywy udział w życiu publicznem.

Wieczorem w salonach kasyna oficerskiego odbył się bal, który zaszczycił swą obecnością gen. Dreszer.

Z okazji święta pułkowego depesze z życzeniami nadesłał do 1 p. strz. kon. Pan Prezydent Rzplitej, Marszałek Piłsudski, II wiceminister spraw wojskowych, gen. Fabrycy, dowódca O. K. I, gen. Wróblewski, dowódcy brygad kawalerji i t. d.

Tyle — oficjalne sprawozdania. Tyle, co podano do wiadomości publicznej o uroczystym jubileuszu pułku, co głęboko w sercach nosi tradycję Księstwa Warszawskiego, pamięć glorji przodków — Ks. Józefa, Dwernickiego, Berka Joselewicza i wielu innych.

Sztandar pułku, złożony dzisiaj w Muzeum stołecznem jest tym, co przetrwał grozę dni nad Berezyną, tym, o którym dowódca zaprzysiągł, że z nim musi powrócić do Ojczyzny.



Karne szeregi strzelców wnet ruszą na defiladę, którą przyjmie szef depart. jazdy M. S. Wojsk., pułk. Brochwicz-Lewiński

Tradycja pułku... Tradycję, przekazane tym karnym szeregom, co dzisiaj w skupieniu słuchają pięknej przemowy dzielnego swego dowódcy, zapisane są w sercach każdego z żołnierzy. A gdy wróci ze służby dla Ojczyzny, gdy zawita pod strzechę domostwa ojcowego, przyniesie z sobą piękne tradycje rycerskie, które nauczył się szanować.

Cześć strzelcom 1 pułku strz. konnych, poległym na polach Tczewa, Friedlanda, Raszyna, Sandomierza, Mołodeczna, Wittau, Kocka i Woli, Cześć tym, co za przykładem ojców swoich poszli bronić Ojczyzny w ciężkich chwilach 1918 — 1920 roku!

Hej strzelcy wraz — nad Wami Orzeł Biały!...

Wyprężyły się dumnie piersi żołnierzy. Sztandar pułkowy zadrżał w ręku chorążego. Dzielni dowódcy spojrzeli pełni zaufania na karne szeregi co dzisiaj, jak przed stu laty gotowe są ponieść ofiarę życia ku chwale i pożytkowi Ojczyzny.

Piękne uroczystości, których byłem świadkiem w Garwolinie, były doprawdy świętem całego powiatu.

Oto nowa karta w życiu młodego naszego wojska, karta, bodaj najpiękniejsze świadectwo w czasie pokoju, o wysokiem poczuciu obowiązku żołnierza - obywatela. Piękne te momenty, których nie widzą mieszkańcy gwarnej stolicy, trafiają wprost do serca. Łzę wyciskają wzruszenia, podziw wzbudzają najgłębszy.

Mili strzelcy! Bronić będziecie Ojczyzny, gdy przyjdzie potrzeba — dziś ją budujecie, czynicie piękne dzieło, godne żołnierza obywatela, wzorem się stajecie dla innych, których przykładem swoim zagrzewacie do służby publicznej.

Cześć Wam, mili strzelcy! Ojczyzna dumna jest, że Wy Jej służycie. *Er.*



Uroczystość 1-go pułku strzelców konnych było świętem całego garwolińskiego powiatu Staraniem oficerów urządzono na błoniu zabawę ludową, która zbliżyła miłą brać żołnierską z miejscową ludnością

W grodzie piratów chińskich

— Jak też wyglądają piraci i czy wogóle istnieją? — myślę wsiadając do pociągu, który ma nas zawieźć, moją siostrę i mnie, z francuskich Indochin do „Miasta Południowych Chmur" czyli ściślej do Yunnanfu, stolicy chińskiej prowincji Yunnan.

Ciągle bowiem słyszymy tego rodzaju zdania: „Podróż ciekawa, ale z tymi piratami..." albo: „No tak, przeważnie się dojeżdża, jednak z piratami nigdy nie wiadomo" i t. d.

Piraci w XX w.? Niebardzo nam się to wydaje możliwem. Pewnie żart dla straszenia świeżo przybyłych do kolonji Europejek. Naturalnie — nie zapominajmy jednak, że jedziemy do Chin i że w Chinach wszystko jest możliwe.

Jedziemy więc... Po zielonych i wilgotnych ryżowiskach dolnego Tonkinu powoli wyłaniają się coraz liczniejsze kępy i pagórki porośnięte drzewami; zaludnione okolice z domkami i białemi pagodami ustępują dzikszym krajobrazom. Zaczynamy się piąć wyżej i wyżej; dżungla naciera zewsząd. Drzewa, krzewy, ljany zlewają się w jedno nieprzebyte morze zieloności, słychać szum Rzeki Czerwonej i huk potoków. Coraz wyższe szczyty gór rysują swe ostre grzbiety na brzoskwiniowem tle wieczornego nieba. Nic już nas nie łączy z cywilizowanym światem poza temi dwiema błyszczącemi szynami.



Ostatnia stacja kolejowa przed „Grodem Piratów".

Wieśniaczki chińskie.

Drugiego dnia rano przekraczamy granicę Chin. Zupełny brak drzew i wogóle roślinności, zato roi się od barwnych strojów. Przeważa kolor niebieski z różnemi pstremi dodatkami i srebrnemi upiększeniami. Ludzie są rośli, powolni, o dziwnie bezmyślnych, prawie zwierzęcych twarzach. Nawet gdy się śmieją nie nadaje im to właściwie żadnego wyrazu. Tegoż wieczoru dojeżdżamy do A-Mi-Czeu o pirackiej sławie. Pociągi w nocy nie chodzą, mamy więc dobrych kilka godzin dla zbadania prawdy. Zobaczymy!

Tymczasem na peronie dostrzegamy szczupłą sylwetkę młodego Europejczyka, który kieruje się w naszą stronę. Przedstawia się jako lekarz kolejowy.

— Uprzedzano mnie telegraficznie o przejeździe pań — dodaje — czy mogę w czemś być pomocnym?

— Panie doktorze, chcemy zobaczyć piratów!

— O, to bardzo łatwo! — śmieje się doktór — jest ich cała masa o dwieście kroków stąd w tak zwanem „chińskiem mieście", którego są prawie oficjalnie panami.

— A cóż mówią na to władze chińskie?

— Martwi je jedynie to, że mają konkurencję w zbieraniu daniny z okolicznej ludności, która się jednych i drugich zarówno boi.

— Istnieje przecież pewna różnica między niemi?

— Niewielka. Teoretycznie wojsko ma wodzów podległych marszałkowi Lung-Yun, zwolennikowi rządu nankińskiego. Piraci są zupełnie niezależni i rozbici na wiele band. Parę dni temu porwali naczelnika stacji i dziś znaleziono list na wadze bagażowej, w którym żądają 100 000 $. A złapali go tu, w biały dzień, na terenie koncesji francuskiej, do której należą tor, budynki kolejowe i szpital!

— No i nie wstąpili do pana przy sposobności?

— Nie — odpowiada doktór — ale starszemu lekarzowi rzucili niedawno „bilecik" w formie bomby a pozatem usiłowali mu jeszcze podpalić dom i szpital. Zemsta zato, że nie stawił się na ich żądanie, żeby leczyć rannych po bitwie gdzieś tam w głębi kraju.

— Bardzo mili ludzie!... A jeśli już tak swobodnie sobie chodzą po koncesji, to niczem gorszem nie ryzykujemy, zapuszczając się trochę dalej w stronę ich królestwa...

— Panie żartują! — woła doktór zaniepokojony — już przedmieścia, leżące przy dworcu nie są zbyt bezpieczne o tej godzinie, chociaż należą do policji regularnej. A za mury chińskiego miasta nawet w dzień nie ryzykowałby wejść żaden biały.

Qui ne risque rien n'a rien! A zatem idziemy!

Nie może nam poczciwy doktór tej decyzji wybić z głowy. Prosi, tłumaczy — nic nie pomaga.

— No, to chodźmy. Ale wstąpię do dowódcy policji, żeby nam dał kilku ludzi i latarnię. Obecnie jest w dość dobrych stosunkach z piratami, może uda nam się jakoś stamtąd wrócić...

Po chwili rzeczywiście ruszamy pod eskortą sześciu drabów w mundurach, z których jeden kroczy z przodu z latarnią, a reszta idzie daleko w tyle, chichocząc. Wystarczy na nich spojrzeć, aby zrozumieć, że przy najlżejszem niebezpieczeństwie uciekną, lub, co gorzej, rzucą się także na nas.

Mijamy przedmieście jeszcze bardzo ożywione mimo późnej pory. Sklepy i stragany oświetlone naftowemi lampkami; otwarte szynki i kuchnie chińskie, domy gry, gdzie hazard ściąga liczne rzesze grających i widzów. Powoli ulice stają się coraz mniej ludne, ciemniejsze, aż wreszcie kończy się nawet bruk. Przed nami czernieje masa muru chińskiego. Błotnista uliczka, którą się posuwamy, prowadzi do jednej z czterech bram miasta. Żołnierze na warcie coś pokrzykują dzikiemi, gardłowemi głosami. Nasi coś odpowiadają i po krótkich pertraktacjach wchodzimy pod długie sklepienie bramy. Czuję, jak się za nami zamyka zaklęty pierścień, który się przed naszym uporem na chwilę otworzył. Noc jest gwiaździsta, ale ciemna, prawie nic nie widać. Jesteśmy sami. Po obu stronach małe domki z gliny lepione, droga kręta, wyboista, pusta. Idziemy tak dość długo aż wreszcie znudzeni jednostajnością wołamy na żołnierza z latarnią i zawracamy. W tej chwili zauważamy że kilkunastu Chińczyków cicho sunie za nami na swych filcowych podeszwach. Są onieśmieleni naszą bezczelnością, jednak już chciwi i nieprzyjaźnie usposobieni. Nasi obrońcy zostają coraz bardziej w tyle, tamci zaś kierują się na nas. O wyjściu inną bramą mowy niema; są zabarykadowane. Trzeba wyjść, kędyśmy przyszli. Zresztą już zawróciliśmy, więc naprzód! Tłum staje, zaskoczony, po chwili jesteśmy otoczeni zewsząd żółtemi twarzami o martwym wyrazie. Jeszcze nic nie mówią, nie ruszają nas; chociaż eskorta znikła, może się przebijemy aż do bramy, nim się nieprzyjaciel na akcję zdecyduje. Idziemy równym krokiem, rozmawiając jak gdyby nigdy nic, ale lekki dreszcz przebiega po plecach. Tak łatwo tu o śmierć...



W chińskiem miasteczku.



Jeszcze kilka kroków i musimy stanąć. Zastąpiono nam drogę. Wszcząć walkę niema sensu, jest ich teraz Bóg wie ilu Przypominają mi się fotografje chińskich tortur, i nie powiem aby mi się przytem zrobiło przyjemnie. Tymczasem doktór łamaną chińszczyzną coś tłumaczy. Słyszymy rzucane zapytania, odpowiedzi i powtarzane w miejscowym djalekcie słowa: doktór, Francuz.

Wtem ktoś rozpycha tłum, jakiś ogromny Chińczyk podchodzi do naszego towarzysza, świeci mu w twarz latarnią, poczem odsuwa niezadowolonych kolegów i popychając nas przed sobą, odprowadza do samej bramy. Wychodząc z całą godnością i majestatem na jaki nas stać po tych przejściach, zapytujemy:

— Któż to był, doktorze?

— Człowiek, którego jedynego syna uratowałem. Syn odgrywa tak ważną rolę w życiu rodzinnem i religijnem Chińczyków... — Cóżby się z nami stało, gdyby miał same córki? — myślimy, dziękując Bogu za to, że obdarzył męskiem potomstwem żółtego olbrzyma...

Adela-Marja Skarżyńska.

Jehuda Krishnai — nauczyciel szczęścia



Podczas dorocznych kongresów „Gwiazdy" w Ommen (Holandja), Krishnai wygłasza dłuższe przemówienia przy ognisku. Na fot. naszej widzimy go w głębi po stronie prawej. Kongres taki odbędzie się w tym roku w przyszłym miesiącu.

Kim jest właściwie ten człowiek? Filozofem? Fałszywym prorokiem? Twórcą nowej sekty lub religji?

Młody, niesamowicie piękny, o pełnych głębi czarnych i palących źrenicach, gładko wygolonych policzkach, ubiera się Krishnai podług ostatniej mody, uprawia sporty, korzysta z usług radja do wygłaszania swych odczytów, na wielkich kongresach „Zakonu Gwiazdy" z dziesięciokrotnia siłę swego gołsu gigantofonem Marconiego, przebiega, przepływa wzdłuż i wszeż świat cały i głosi naukę „szczęścia doskonałego".

Krishnai, zwanego inaczej Krishamurti „odkryła" osławiona prezeska Towarzystwa Teozoficznego, Annie Besant. W poszukiwaniach przyszłego „proroka", który, wychowany i urobiony na modłę teozofów stałby się kiedyś potężnem narzędziem w ich ręku, natknęła się Annie Besant na dwuch małych chłopców hinduskich, bawiących się w piasku nad brzegami „Świętego Gangesu". Jednym z nich był siedmioletni wówczas Krishnamurti, drugim jego ośmioletni braciszek, Nitjanaudz, który zmarł cztery lata temu w Kalifornji. Uderzyło ją coś w twarzy młodszego dziecka — odwiedziła ich rodziców i uzyskała ich pozwolenie na zabranie obydwuch chłopców do obozu teozoficznego.

Przyznać trzeba, że Annie Besant wraz z drugim filarem tego obozu, C. W. L. Leadbeaterem, konsekwentnie i z całym zaciekłym uporem dążyła do wytkniętego celu. Chłopcy ani na chwilę nie wydostawali się z pod jej zazdrosnych wpływów, zapoznając się gruntownie ze wszelkiemi arkanami nauk teozoficznych oraz ich najtajniejszemi obrzędami.

Po pewnym jednak czasie rodzice małego Krishnamurti, stęsknieni za dziećmi, lub może ulegając radom braminów, zażądali zwrotu swych chłopców. Besant nie poddała się — wszczęła długoletni proces i wygrała go we wszystkich trzech instancjach. Odtąd Krishnamurti stał się niepodzielną własnością „braci teozoficznej", przebywając kolejno w dwuch ich stolicach — Londynie i Adjarze.

Od lat najmłodszych otaczany czcią niemal boską, obsypywany hołdami, Krishnamurti z pozorną biernością zdawał się zgadzać na rolę, jaką przeznaczyła mu w swych marzeniach ambitna teozofka. Miał zostać nie mniej i nie więcej, tylko wcieleniem Bodhisatwy oraz inkarnacją Zbawiciela!

Doszło do tego, że Annie Besant założyła t. zw. „Wolny Kościół Liberalny", w którym nowomianowany „Zbawiciel" miał przewodniczyć misterjom najwyższego stopnia.

Nadszedł wreszcie fatalny dla teozofów rok 1925. Bluźniercze zamiary rozhisteryzowanej prezeski doszły do zenitu. Zapragnęła przydać do boku „swego" Zbawiciela apostołów — i to koniecznie dwunastu. Intrygi i tarcia, jakie wynikły z tego powodu wśród teozofów, z których każdy domagał się tego zaszczytu, przeszły wszelką miarę. Narazie ograniczono się więc do mianowania tylko połowy „apostołów" — czterech biskupów „Wolnego Kościoła" i dwuch kobiet, z których jedną była — naturalnie! — sama Annie Besant.

Lecz tu, jak grom z jasnego nieba, uderzył w teozofów sprzeciw ich „boskiego" wychowanka. Krishnamurti z oburzeniem oparł się nęcącym namowom, opuścił swych nauczycieli i, pogrążywszy się w doskonałej samotności, sam własnym trudem myślowym zdobył podstawy swej ze wszech miar interesującej nauki o szczęściu.

A oto główne jej wytyczne, które wyjmujemy z odczytu, wygłoszonego przezeń rok temu w Londynie.

„Każdy człowiek — głosi Krishnai — szuka Prawdy, lecz wyobraża sobie, że jest ona czemś dalekiem poza życiem, podczas gdy Prawda — to życie samo. Zrozumienie życia daje poznanie Prawdy, wyczucie jego rytmu — uchwycenie Jej tętna".

„Ażeby ujrzeć Prawdę, która jest życiem, serce i umysł muszą być proste i wolne od przesądów. Drugim warunkiem zrozumienia Życia, a zatem i Prawdy, jest niezadowolenie, bunt przeciwko wszelkim utartym przekonaniom, pewnikom i wiarom. Niezadowolenie rozumne, które jest twórcze i prowadzi do rozwiązania wszystkich zagadnień życia. trzecim warunkiem jest prostota serca i umysłu, lecz nie prostactwo, popiół i włosiennica, brud i zaniedbanie siebie, lub wreszcie ucieczka od świata".

„Wszyscy pragniemy szczęścia — i to jest najwyższe pragnienie duchowe. Lecz szczęście rzeczywiste jest owocem przeżyć olbrzymich i szczytem zarazem, który ponad wyżyny wszystkich doświadczeń się wznosi".

„W każdym człowieku są jakby trzy odrębne istoty: umysł, uczucie i ciało. Każda z nich żyje i działa na własną rękę, co prowadzi do zupełnego zamętu. Te trzy istoty, to jakby trzy konie razem zaprzężone — każdy koń jednak ciągnie w inną stronę, człowiek zaś niema nad nimi władzy. Jeżeli jednak panuje nad końmi i wie dokąd dąży, wówczas stanie u celu mądrze i spokojnie".

„Dążąc wytrwale do celu, którym jest szczęście, człowiek winien swe myśli, uczucia oraz ciało kierować ku doskonałości. Doskonałość umysłu to wyrobienie jego czystej, niczem nie skażonej odrębności i swoistości. Doskonałością serca jest olbrzymia zdolność kochania, połączona ze spokojną bezinteresownością. Uczucie się rozwija. Początku jest pożądliwe, ciasne, ograniczone, o wszystko zazdrosne. Ból i cierpienie oczyszcza jej uczucie wzrasta, rozszerza się i coraz więcej istot obejmuje. Wreszcie — u progu doskonałości — staje się olbrzymiem, niczem nie skrępowanem kochaniem".

„Pierwszym warunkiem osiągnięcia doskonałej harmonji ciała jest piękno. Lecz piękno zewnętrzne nie wystarcza... Drugim warunkiem jest powściągliwość, owoc rozwagi, nie ascezy. Trzecim — wielka prostota".

„Jeśli to, co mówię, przyjmiecie ślepo, jako pewien dogmat — stworzycie nową religję i nowych bogów, którzy więzić was będą i ofiar wymagać. Ja zaś chcę wyzwolić wszystkich, którzy swą klatkę więzienną wciąż tylko ozdabiają".

W książce swej p. t. „Królestwo Szczęścia" nawołuje Krishnamurti do hodowania silnych uczuć: wielkiej miłości, żywego szczęścia, prawdziwej dobroci. „Człowiek, pozbawiony uczuć, nie posiada żadnej wartości; jeśli jednak posiada zdolność do uczuć silnych, może uczynić je doskonałemi i czystemi, choćby nawet uprzednio złe uczucia w swem sercu nosił. Jedynie człowiek stwardniały i obojętny nie potrafi ani tworzyć, ani burzyć, ani budować... O ile znacie jedynie wzruszenia słabe, dajcie im pożywkę: nabiorą sił; urosną. Są ludzie, którzy twierdzą, iż tępić należy w sobie wszelkie odczuwanie, wszelką zdolność do wzruszeń. Jest to myśl pozbawiona zarówno sensu, jak ducha. Im pełniejsze jest serce i bardziej dostępne wzruszeniom, tem lepiej. Konieczne jest jednak opanowanie — jeśli nie zdołacie uczuć opanować — cierpieć będziecie"...

Droga do szczęścia podług Krishnamurti'ego wiedzie przez entuzjazm. „Musicie zpoczątku iść naoslep, aż zainteresowanie nabierze żywości, aż entuzjazm stanie się jasny, mocny, aż rozpali w was płomień genjuszu. „Warunkiem szczęścia jest posiadanie ideału, jako celu. „Człowiek pospolity zostaje osaczony przez życie — nie posiadając ideału, podaje się naporowi otoczenia i traci swą żywotność". Ponadto trzeba przeniknąć się kulturą, bo „jedynie posiadłszy kulturę, zainteresowanie i entuzjazm, zdolni będziecie usłyczeć Głos w całej czystości tonów i całej rozkazodawczej potędze". Kładzie również nacisk na stronę fizyczną życia: piękno, ład i dobrobyt, podnosi znaczenie walki z samozadowoleniem.

„Uprzednio jednak winniście ozdobić świątynię. Jest nią ciało wasze — niechże więc stanie się doskonałe, silne i prawdziwie piękne. Każdy czyn i ruch, czy to w radości, czy w cierpieniu, o każdej godzinie i chwili, powinien być subtelny, piękny i wydoskonalony, bo godnie wyrażać przybytek, w którym zamieszkuje wiekuistość".

Dążenie do harmonji między życiem wewnętrznem a zewnętrznem — oto cel Krishnamurti'ego. Jak widzimy, jest on umysłem nawskroś współczesnym, dalekim od chęci tworzenia sekt czy religji, realistą ideału, nieco jednak przesiąkniętym rasowym mistycyzmem. W żadnym jednak razie nie jest inkarnacją jakiegoś bóstwa, ani też za nią się nie podaje. *(p)*



Jehuda Krishnai.

NINA OKUSZKO - EFFENBERGEROWA.

Siedem dni

Panna Teresa siedziała w ogródku.

Zachodzące słońce złociło jej zmęczoną twarz blisko czterdziestoletniej kobiety. Dokuczliwy, lipcowy upał zmniejszył się pod wieczór. Poprzez sztachetki widać było ludność miasteczka wyległą tłumnie na spacer.

Ogródek z jednej strony przylegał do wąskiej uliczki w okresach słoty pełnej bajorów i błota, z drugiej wychodził na brukowany rynek, z kościołem naprzeciwko. Obok, o parę kroków, znajdowała się apteka, a dalej jeszcze biały, piętrowy budynek. Urząd pocztowy.

Panna Teresa znała wszystkich w miasteczku: niedarmo mieszkała tu od lat przeszło dziesięciu. Miała w parterowym domku dwa pokoiki i kuchnię, zaś po za domem — ogródek. Zajmowała posadę nauczycielki w szkole miejscowej. Nie posiadała natomiast rodziny, ani nikogo bliskiego na świecie. I choć przystosowała się najzupełniej do swych obecnych warunków, to jednak nie przestawała tęsknić za ciepłem domowego ogniska, za szczebiotem dziecięcym, za silną, męską, przyjazną opieką. Nie był to bunt, ale jakby połączenie rezygnacji z cichem, niepozbawionem nadziei pragnieniem.

Ale lata biegły, a nic się w jej życiu dotąd nie zmieniło. Tak samo codziennie szła rano do szkółki. Tak samo potem wracała na obiad. Jeśli to była wiosna, to popołudnia spędzała w ogródku, sadząc i pielęgnując swe ukochane kwiaty. Zimą siadywała przy okrągłym stoliku, by godzinami rozkładać nigdy nie kończący się pasjans. Czasem wybierała się do proboszcza po nową książkę, lub też do pani aptekarzowej, na różne plotki o całem sąsiedztwie.

A za to w lecie, upalne wieczory lubiła zazwyczaj wychodzić przed domek i siedząc na drewnianej ławeczce, snuć swe marzenia nie chcące jakoś się spełnić.

Niekiedy myśl jej cofała się w przeszłość. Prawda, że przez cały szereg lat dni jej płynęły szare i jednakowe, jakgdyby krople jesiennego deszczu. Ale miała kiedyś i ona swoje przeżycia. Niezapomniane siedem dni.

W głębi duszy była, nawet dumną, że jej się bodaj raz jeden udało wziąć od losu coś więcej, ponad codzienny szablon. Tajemnicę swą panna Teresa kryła głęboko na dnie pamięci. Czasem, gdy przeżywała ją raz niewiadomo który, na zwiędłych rysach zjawiał się rumieniec. Ostatni dzień z tych siedmiu skończył się tylko nieprzyjemnym zgrzytem i wraz z nim rozwiała się bajka.

Teraz siedząc na ławce, tuż pod oknem z przejrzystą zazdrostką, znów widzi siebie, taką, jak przed piętnastu laty, gdy w odległem powiatowem mieście otrzymała swą pierwszą posadę nauczycielki.

Wakacje postanowiła spędzić u przyjaciółki, zamieszkującej w majątku, na kresach. Przedtem miała zabawić przez parę dni w Warszawie, aby załatwić niezbędne sprawunki .

Do pociągu wsiadła wieczorem, myśląc niechętnie o nieprzespanej nocy. Podczas, gdy rozkładała na ławce pled, aby choć trochę się zdrzemnąć, wszedł do przedziału jakiś mężczyzna i zajął miejsce naprzeciwko.

Panna Teresa, tymczasem, zdążyła wyjąć niewielką poduszkę, poczem zamknęła walizkę, chcąc ją zarzucić na siatkę. W tej chwili pociąg szarpnął gwałtownie, tak, że omal nie upadła na przeciwległą ścianę .Ale towarzysz jej zdołał ją w porę podtrzymać.

„Pani pozwoli walizkę, — mówił, — to ją umieszczę na właściwem miejscu. O mały włos byłaby się pani uderzyła".

Panna Teresa czuła się zawstydzoną.

„Dziękuję za pomoc i bardzo przepraszam. Dzięki panu uniknęłam guza..."

Nieznajomy roześmiał się swobodnie.

„To znaczy, że się na coś przydałem. A już miałem wrażenie, że pani jest niezadowoloną z mojej obecności".

„Ależ co znowu? Nic podobnego!"

Zawiązała się rozmowa. Towarzysz jej wkrótce się przedstawił, nie dosłyszała jednak nazwiska; stwierdziła tylko, że był średniego wzrostu, przystojnym mężczyzną, w wieku mniejwięcej trzydziestu kilku lat. Bujne ciemne włosy miał lekko faliste, spojrzenie śmiałe, żywe, trochę ironiczne. Po dwóch godzinach gawędzili, jak dobrzy znajomi.

„Czy pani stale mieszka w Warszawie?" spytał.

„Nie, na prowincji, niestety. Do Warszawy jadę na parę dni, a potem dalej, na kresy".

„To tak mniejwięcej, jak i ja. Przez rok okrągły siedzę w zapleśniałej dziurze, a tylko na urlop wyruszam gdzieś w świat. Ma pani kogoś w Warszawie?

„Nie. Ani tam, ani wogóle. Rodziców straciłam wcześnie, to też wcześnie musiałam zabrać się do pracy".

„Czyli, że jest pani kobietą niezależną i może robić co jej się podoba. Ale wobec tego, jak pani zamierza spędzić te kilka dni w Warszawie?"

„Rano będę załatwiała sprawunki, a wieczorami... sama nie wiem. Może się gdzieś wybiorę, do teatru, albo wprost, na spacer".

„Sama?"

„Ano sama. Cóż robić?"

Przyglądał się jej przez chwilę.

„Gdyby pani nie raczyła wzgardzić mojem towarzystwem, możebyśmy się tak razem gdzieś wybrali..." zaproponował.

Wahała się. Widziała tego człowieka po raz pierwszy. Nie wiedziała, jak się nazywał, ani co miał na myśli, ofiarując swoje usługi. Ale jednocześnie był niezaprzeczenie bardzo inteligentny, oczytany i dowcipny. Musiał być gdzieś na stanowisku jeśli wspominał o urlopie. Jej też nie uśmiecha się samotność. Zresztą w razie potrzeby, może tę znajomość zerwać każdej chwili. Wszak on również nie zna jej nazwiska, ani miejsca stałego pobytu.

„Dobrze", odrzekła, po chwili.

„To wie pani co? Nie będziemy tego odkładali, tylko dziś jeszcze odwieziemy najpierw rzeczy do hotelu, a potem pójdziemy razem na śniadanie. Po co odwlekać... i tak mamy przed sobą parę dni zaledwie".

Milczała nie mogąc się zdecydować.

„Dobrze? — nalegał. — Potem pani pójdzie po swoje zakupy, a ja tymczasem obmyślę program na popołudnie. No, proszę nie być dzieckiem i powiedzieć: zgoda".

„Zgoda", powtórzyła.

Było jej, coprawda, trochę niezręcznie. Ale już słowo się rzekło.

„Teraz radzę się pani przespać i sam to również zrobię. Szkoda w Warszawie tracić dzień na spanie, tembardziej, że przyjedziemy dopiero, za parę godzin.

Okrył ją pledem i przyćmił światło. Panna Teresa musiała przyznać, że w gruncie rzeczy cieszyła się trochę z niezwykłej przygody. Będzie miała o czem opowiadać przyjaciółce, która wyśmiewała się często z jej nieobycia i braku odwagi.

Pierwszy dzień w Warszawie minął jej, jak bajka. Nowy znajomy wynajął sobie pokój o piętro wyżej, w tym samym hotelu. Zaraz rano zabrał ją na śniadanie do pierwszorzędnej cukierni. Potem obiecał zjawić się przed wieczorem, z gotowym planem wspólnego spędzenia czasu. Panna Teresa już od obiadu nie mogła się doczekać. Nie żałowała wcale, że się tak wszystko złożyło i postanowiła nie zrażać go odmową, jeśli na dni następne zaproponuje jej jakąś rozrywkę.

Wieczór spędzili w teatrze. Pierwszy raz siedziała tak blisko sceny. Pierwszy raz była w towarzystwie eleganckiego, młodego mężczyzny, i po raz pierwszy czuła się na powierzchni życia. Do tej pory los pozostawiał ją w cieniu, skazując na bezbarwny szablon wegetacji.

Dni następne dzielili między kino, spacery i cukiernie. Panna Teresa myślała z żalem, że zbliża się termin wyjazdu. Postanowiła jednak, odwlec go jaknajdalej.

Dnia czwartego spotkali się po południu, ażeby wspólnie zwiedzić „Zachętę". Serce panny Teresy napełniała bezbrzeżna radość. W końcu nie wytrzymała.

„Chciałabym panu coś powiedzieć..." zaczęła.

„Jestem na rozkazy".

„Że przedewszystkiem, strasznie się cieszę... Że mi tak dobrze w pana towarzystwie, chociaż z początku wyrzucałam sobie tę szybkość decyzji".

Spojrzał na nią jakoś zagadkowo. Ale narazie nic nie odpowiedział.

Tym razem długo nie zdołała zasnąć. Myśl o bliskiem rozstaniu napełniała ją smutkiem.

Nie mogła go przecież prosić, aby do niej pisywał. I tak powiedziała zbyt wiele. Ale on sam, chyba nie zapomni tak szybko. Pocóżby poświęcał jej tyle czasu? Tylko dlatego, że on również znajduje przyjemność w jej towarzystwie.

Piąty wieczór był bardzo tkliwym rozdziałem w księdze przeznaczeń panny Teresy. Bowiem, gdy przyszedł powiedzieć „dobranoc", sama nie wiedziała kiedy znalazła się w jego objęciach i pozwoliła mu się pocałować.

Szóstego dnia nie poszli prawie nigdzie. Spędzili go w jej numerze na gorących półsłówkach. Panna Teresa czuła, że jest jej coraz trudniej pogodzić się z koniecznością wyjazdu. Myślała o tem z prawdziwą rozpaczą odwracając wstydliwie głowę po każdym pocałunku. Za to dzień siódmy okazał się w księdze jej życia bardzo jaskrawą i pamiętną kartą. Usunęłaby ją chętnie. I nie dla faktu, może, który się wtedy wydarzył, tylko towarzyszące mu okoliczności wywoływały w niej pewną niechęć.

Już od rana znajomy jej był trochę podrażniony. To ją gwałtownie przyciągał do siebie, to patrzał jakoś dziwnie wrogo. Byli na mieście krótko i przytem brakło mu chęci do rozmowy. Rozeszli się do swych pokoi z tem, że spotkają się przy kolacji.

(dok nastąpi).

Czy wiecie że...

...słynny szachista Capablanca zaprojektował reformę gry, polegającą na powiększeniu liczby pól do 100 i dodaniu 2-ch nowych figur: „kanclerza" i „marszałka".

*

...w związku z projektem budowy tunelu, łączącego Anglję z Francją wpłynęły podania do władz miarodajnych o otwarcie komunikacji samochodowej, równoległej z kolejową, a nawet... chodnika dla pieszych turystów.

*

...przy sposobności badania hałasu na wydajność pracy ludzkiej przekonano się, iż najbardziej hałaśliwym środkiem komunikacji jest kolej podziemna, za nią idzie warczenie motoru samolotowego; następnie — ruchliwe ulice, niektóre fabryki i t. d.

*

...wkrótce samolot stanie się dostępnym dla ludzi, którzy mogą sobie pozwolić na nabycie samochodu. Prawda, że niektóre z nich kosztują przeszło pół miljona złotych — są to zresztą 14-osobowe aerobusy — najtańszy model atoli można kupić za 6.500 zł. W przewidywaniu, iż podobne aparaty znajdą wkrótce liczne rzesze chętnych nabywców, fabryki produkują obok nich małe hangary składane w postaci namiotów, mogące być łatwo umieszczone na samolocie, bynajmniej jednak nie przeciążające całości ładunku.

*

...w najbliższym czasie zostanie opuszczony na wody największy okręt świata pod flagą francuską. Posiada on 60 tysięcy ton pojemności i 270 metrów długości. Największy dotychczas okręt francuski posiadał 42 tysiące ton i 225 m. długości.

Czy wiecie że...

...Napoleon, ilekroć żegnał się ze swą żoną Józefiną Beauharnais, zwykł był do niej mawiać: „kochaj mnie i mów o mnie dużo, a dobrze". Jest to dowód, jaką wagę przywiązywał ten wielki człowiek do opinji.

*

...w roku 1925 było w Niemczech: 36,760 ludzi ślepych, 41,283 głuchych i głuchoniemych, 730,741 fizycznie ułomnych, 206,230 umysłowo upośledzonych.

*

...ilość bezrobotnych w Polsce wynosiła w roku 1926 225,763. Natomiast dnia 30 marca 1929 r. wynosiła zaledwie 176,539. Obecnie cyfra ta spadła do minimum.

*

...w roku 1927/28 wyprodukowano w Niemczech około 52 milj. hektolitrów piwa. Czyli wypada na rok i głowę jednego mieszkańca Niemiec ponad 80 litrów.

*

...statystyka twierdzi, że przeciętnie 40% samobójców odbiera sobie życie z powodu nieuleczalnych chorób, lub innych dolegliwości fizycznych.

*

...według relacji profesora uniwersytetu Kazańskiego wyspa Nowa Ziemia jest podobno wolna od wszelkich bakterji. Tak np. kawał mięsa, wystawiony na działanie powietrza, pyłu, deszczu itd. przez osiem miesięcy, nie wykazał w ciągu tego czasu żadnego śladu rozkładu.

*

...pierwszy omnibus angielski został uruchomiony w lipcu 1829 r. przez kadeta marynarki angielskiej Georga Schillibeera. Obsługę jego stanowili bardzo przystojni synowie oficerów, władający doskonale językiem francuskim, co stało się powodem licznej frekwencji pięknych pań.

Miasto cudów — „Universal City"

Nie jest to tytuł filmu z udziałem Douglasa Fairbanksa, lecz bardzo bliska prawdy nazwa miejscowości, w której są wytwarzane wyśmienite nowoczesne filmy.

Wątpię mocno, czy na tysiąc widzów kinowych chociażby jeden zdaje sobie dokładnie sprawę z istoty rozmaitych efektów, przy pomocy których osiąga się pełnia artystycznego wrażenia.

— W jaki sposób oni to czynią, — głowi się spektator, — żeby tak aparat filmowy chodził po piętach za bohaterem? Jak oni mogą dokonywać zdjęć na wzburzonem morzu? Jak to oni w „Diesięciorgu przykazań" mogli urządzić, żeby Żydzi naprawdę suchą nogą przeszli przez Morze Czerwone?

Ostatni przypadek wzbudził w swoim czasie wielkie zainteresowanie nawet w fachowym świecie filmowym. Sam Cecil B. de Mille przeciął dyskusję, zdradzając tajemnicę swego tric'ku.

W gmachu wytwórni został zbudowany duży basen z blaszanym zakrzywionym korytarzem, z pozostałej części basenu zaczęła się przelewać przez krawędzie woda, puszczono w ruch aparaty filmowe. Początkowo woda kotłowała nia dnie korytarza, następnie poczęła łagodniej spływać do „przepaści", wreszcie cały basen stanowił jednolitą powierzchnię wodną.

Gdy taśmę puszczono na ekran w odwrotnym kierunku, złudzenie fal usuwających się na boki było doskonałe. Nałożenie na te tło zdjęć tłumu statystów nie nastęczało już żadnych trudności.

Takich przykładów przemyślności reżyserskiej możnaby przytoczyć długi szereg. Prawie każdy wielki film posiada kilka takich dowcipów, na których „wynalazcy" zarabiają grubszy grosz.

Jednem z najbardziej doniosłych udoskonaleń nowoczesnej techniki kinematograficznej są aparaty, umożliwiające przesuwania się objektywu w trakcie dokonywania zdjęć. Należy odwiedzić pierwsze lepsze atelier, by zrozumieć i ocenić wartość tego wynalazku.

Operator nakręca jakąś sceną. Cała scena trwa zaledwie jedną lub dwie minuty.

— Stop, — woła nagle reżyser, — robimy zbliżenie.

Elektrotechnicy gaszą światła, operator przysuwa kamerę do twarzy aktora, poczem następuje żmudne regulowanie świateł. Po minucie zdjęć następuje ponowna przerwa — kamera musi znów objąć szerszy plan i powrócić na poprzednie miejsce. Aktorzy się męczą i ostatnie sceny grają resztkami sił.

Ta męczarnia usuwa się w dziedzinę historji kinematografji z chwilą wynalezienia maszyn, których fotografje są zamieszczone na niniejszej stronicy.

Olbrzymia maszyna, podobna zdaleka do udoskonalonej drabiny strażackiej posiada u góry platformę, na której poza kamerą znajdują wygodne pomieszczenie operator i reżyser.

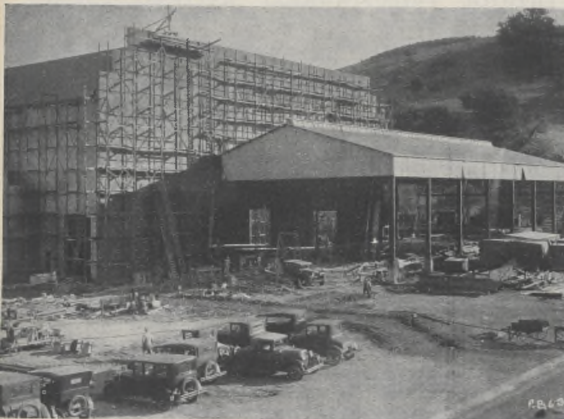
Mieszcząca się na takim aparacie kamera może szybko i płynnie posuwać się w każdym dowolnym kierunku. Gdy akcja na tle pewnej dekoracji przenosi się z miejsca na miejsce, kamera swem bacz-

Gdyby nie pewna sztuczność ruchu ulicznego i perspektywa na ostatnim planie z poza węgła domu — możnaby przypuszczać, że znajdujemy się w prawdziwem mieście, które, za wyjątkiem kinoteatrów, nic nie ma wspólnego z kinem.

Chwila przerwy... Reżyserzy, operatorzy i statyści pobiegli do „suchego" baru, zaczerpnąć nowych sił. Boć wykonywanie tak kolosalnego obrazu, jak „Broadway" bynajmniej nie jest synekurą. Wytwórnia, która zapłaciła za jedne prawa autorskie 225.000 dolarów, wybudowała całe ulice New-Yorku, majątki ziemskie — „haciendy", wioski, olbrzymie sceny akustyczne i t. d. — musi przecież wyciągnąć z artystów i tysięcy statystów wszystko, co tylko można, byleby obraz wypadł jaknajlepiej. Nic też dziwnego, że realizatorzy obrazu, którymi są Carl Laemmle junjor i znany bakterjolog węgierski Paul Fejos zasłużyli sobie u artystów sławę tyranów. „Ofiary" ich, co prawda, nie wyglądają na zbyt zmęczone, czego [illegible]odem uśmiechnięte buzie Barbary Kent i Katarzyny Crawford, które zajęły chwilowo opuszczoną platformę reżyserską i figlarnie pozują fotografowi.



Inny fragment ulicy, wybudowanej dla filmowania „Broodway'u". Operatorzy robią zdjęcia z wysokości platformy. Dziesiątki lamp przygotowano zawczasu na wypadek, gdyby słońce kalifornijskie miało nie dopisać. Na ostatnim planie rusztowania dalszych budowli.



Fragment budowy olbrzymich scen dla filmu „Broadway", z których akustyczna mierzy 340 stóp długości na 150 szerokości i 70 wysokości. Potężne reflektory i jupitery ustawione będą na środku, oświetlając jednocześnie całość równomiernem światłem. Prądu dostarcza specjalnie zmontowana elektrownia.



Statyści tłumnie defilują, stwarzając najzupełniej realne wrażenie wielkomiejskiego ruchu, zwłaszcza, że nawet sklepy są dokładnie skopjowane z ul. New-Yorku. Wieżyca na platformie operatorów zajęła pozycję, umożliwiającą zdjęcia z góry. Potężne jupitery ustawione na ostatnim planie wzmacniają światło słoneczne.

Na nowych terenach, zakupionych przez potężny koncern „The Universal Pictures Corp" dla realizowania obrazów, jak „Broadway" wybudowano obok sztucznego miasta i wiosek szereg kawiarni i restauracyj, w których tysiączne rzesze zatrudnionych wykonawców znajdują chwilę dobrze zasłużonego wytchnienia.

nem okiem może utrwalić na taśmie scenę w całości. Potęguje to ogromnie złudzenie rzeczywistości u widza, który w taki właśnie sposób obserwuje otaczające go zjawiska.

W najdalej idącem upodobnieniu czynności objektywu kamery do żywego ludzkiego oka leży istota i doniosłość tego wynalazku.

Wielkie wytwórnie amerykańskie zarzuciły już prawie całkwicie dawne metody pracy dekoracyjnej, polegającej na wznoszeniu „monumentalnych" gmachów z cienkiej dykty albo i wręcz tektury. Dla wielkich filmów wytwórnie budują całe gmachy, po ukończeniu zdjęć użytkowane do innych celów. W takiem Universal-City niejeden solidny gmach zawdzięcza swe powstanie filmowi.

Wszyscy zapewne jeszcze mają w pamięci piękną dekorację ulicy w filmie „Wschód słońca". Szeroka wielkomiejska ulica posiadała dwa rzędy okazałych gmachów utrzymanych w stylu nowoczesnym. Najbardziej nawet wprawne oko nie mogło dostrzec wady architektonicznej w tej dekoracji, wykonanej ogromnym nakładem pracy. Środkiem ulicy ułożono tory, któremi biegły prawdziwe tramwaje.

Po ukończeniu filmu „Murnau-City", imieniem bowiem realizatora filmu ochrzczono te „sztuczne miasto", znikło z powierzchni ziemi, wszakże dzięki taśmie filmowej stało się ono jednym z prawzorów nowoczesnego miasta. *i. k.*

Paryska moda letnia

(Fot. „Wide World").





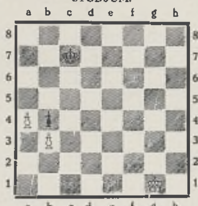
Na fotografjach naszych widzimy trzy piękne, wytworne, proste i ze smakiem wykonane modele słynnych paryskich salonów mód. Na fot. po stronie lewej podziwiamy śliczną sukienkę spacerową z satin koloru beige, którą można nosić bez płaszcza. Godety z satin barwy ciemniejszej, w tym samym tonie, jak również rękawiczki, torebka i kapelusz. Na fot. środkowej zachwycają nas dwa oryginalne szale kreacji słynnego Rodier'a, z materjału zwanego „tulsikasha" w kolorach niebieskim, czerwonym i szarym. Po stronie prawej oglądamy ostatni model sukienki z crepe de chine, kreacji Nicole Groult. Kolor mauve jasny — płaszcz w tonie ciemniejszym, o kilka centymetrów krótszy od sukni. Aplikacja sukni z tegoż materjału, co płaszcz. Suknia zapina się z przodu.

Piękne i harmonijne ensembles, w których każda pani z powodzeniem może iść w parze z wykwintną i pełną smaku paryżanką..



Rozrywki umysłowe

STUDJUM.



Białe zaczynają. Jaki wynik?

Za trafne i dokładne rozwiązanie powyższego studjum przeznaczamy do rozlosowania nagrodę w postaci podręcznika szachowego Capablanki (w tłom. ros.). Termin nadsyłania rozwiązań 15 lipca.

BILETY WIZYTOWE.

(autor nie podał swego nazwiska).

W jakich krajach mieszkają ci państwo?

POLA G. TURAJ

NINA D. FAJL.

J. WACESZ

ADEK WOR.

CZESŁAW JOHACCO.

JAN POJA.

JAN U. MUR.

AGATA FISNN.

P. JAGAWAR.

JAN WEGOR.

METAMORFOZA.

Poniżej podajemy do rozwiązania nową b. ładną i trudną metamorfozę, której autorem jest p. Z. Mar-s.



Nowe słowo utworzone po piątej zmianie zaczyna się na literę M, kończy zaś na T.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z N-ru 20.

ZADANIE II.

Pociągi idące z szybkością 60 km. na godzinę spotkają się na połowie drogi po przebyciu 150 km. — to jest po upływie 2½ godzin. Aeroplan latając bez przerwy przez ten czas z szybkością 150 km. na godzinę przeleci 150×2½=375 km.

Oczywiście dowcip zadania polega na znalezieniu powyższej bardzo prostej metody rozwiązania.

Inż. J. Modrzejewski

ZADANIE III.

Osemka z dwuch kart powstaje z następujących kombinacyj: 8+0, 7+1, 6+2, 5+3, 4+4. Dziewiątki zaś z takich: 9+0, 8+1, 7+2, 6+3, 5+4. Kombinacje te są jednakowo częste, w szczególności 8+0 odpowiada kombinacji 9+0 i t. d. Wyjątek stanowi kombinacja 4+4, która musi być rzadsza od kombinacji 4+5, gdyż szansa wyciągnięcia 2-ch czwórek kolejno jest mniejsza od szansy 4+5. Łatwo to zrozumieć, jeżeli unaocznimy sobie, że po wyciągnięciu z talji jednej czwórki szanse ósemki zapewnia nam jedna z pozostałych *trzech* czwórek a szanse dziewiątki jedna z *czterech* piątek. Zdawałoby się więc, że dziewiątka jest częstszą kombinacją, ale przecież 9+9 (!!) też daje ósemkę. I ta okoliczność przechyla szanse na korzyść ósemki. Trafnego rozwiązania nikt nie nadesłał.

BILETY WIZYTOWE.

1) KAPELMISTRZ, ABO (p. J. Modrzejewski znalazł trudny „dual": Opat-Skalbmierz, nad rzeką Niedzicą — dawna kollegjata).
2) RENTGENOLOG,
3) PRZEMYSŁOWIEC,
4) REKTOR POLITECHNIKI,
5) KOMISARZ GIEŁDOWY.

ZADANIE IV.

Cyfra 142857
142857×2=285714
142857×3=428571
142857×4=571428
142857×5=714285
142857×6=857142

NAGRODY.

Za rozwiązanie zadań z Nru 20 otrzymują pp. Mieczysław Pfeiffer z Poznania, Winiary, św. Leonarda 4; Stanisław Nowak z Poznania, Grobla 18, Zenaida Kłoczkowska z Warszawy, Stefan Kamiński z Warszawy, inż. J. Modrzejewski z Lublina, ul. Narutowicza 22.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z Nru 21.

SZARADA — BRWI-NÓW.

Zadanie konikowe — Zwiedź wystawę krajową.
Zagadka — Dwa.

NAGRODY.

Za rozwiązanie zadań z Nru 21 otrzymują w wyniku losowania: pp. M. Pieńczewski, Halina Nowicka, Nina Czlenow z Warszawy, Wanda Auderska z Łodzi, Plac Wolności 9; Jan Walatek z Częstochowy „Union" Textile"; Kamila Kamińska z Sulejówka, Anna Weroncówna, Aleksander Izgur, Mieczysław Königsberg z Warszawy.

NAGRODY.

Za rozwiązanie metamorfozy oraz biletów wizytowych z niniejszego Nru przeznaczamy 5 nagród książkowych do rozlosowania. Termin nadsyłania rozwiązań 17 lipca.

Za kratami więzień

Siwa gąska, siwa
Po Dunaju pływa...
Powiedz, moja miła,
Kto u ciebie bywa?...

Temi słowy popularnej polskiej piosenki więziennej zwraca się do swej dziewczyny młody aresztant. I poprzez twarde i nieubłagane kraty żelazne dobiega doń jakby echo odpowiedzi:

Bywał Antoś u mnie,
Bywał u mnie stale,
Teraz już nie bywa:
Siedzi w kryminale...

Siedzi w kryminale,
Przez okno lipuje,
Jak się jego Mańka
Z frajerem całuje...

Żałosna to piosenka, rozdarta akcentem bolesnej fermaty w drugiej sylabie ostatniego wiersza. Akcentu tego nie złagodzi ani styl naiwny, ani dziarsko pobrzękujące „bum - cyki" refrenu, ani też pełna złodziejskiego „ambitu" strofa końcowa:

Żeby was tu było,
Jak na Wiśle piany,
Niema i nie będzie,
Jak Antoś kochany!

Więzienie...

Nie sądzę, aby na całym świecie znalazł się bodaj jeden tak nędzny człowiek, który mógłby z uśmiechem na ustach spoglądać na groźne i tajemnicze mury więzienia. Za temi murami pokutuje i cierpi nasz bliźni, który złamał prawo. Stężało w ponurym bezruchu oddzielają go one od świata i społeczności ludzkiej, od społecznego i serdecznego obowiązku, od miłości i nienawiści.

Widok tego posępnego klasztoru występku rani, przygniata i upokarza. Upokarza godność i dumę człowieczą, gdyż mówi nam o słabościach ludzkiego serca, stawiając przed oczyma widmowe niziny, na które stacza się czasami dusza ludzka...

My, Polcy, głębiej — choć i subjektywniej — niż inne narody, odczuwamy tajemniczą symbolikę i dręczącą zagadkę murów więziennych. Za podobnemi murami cierpieli za Polskę najlepsi z najlepszych, którzy czynem chcieli ją do życia przywrócić. W podobnych lochach zamknięty gnił męczeńsko Łukasiński. Takie same mocne drzwi otworzyły się dnia pewnego przed Trauguttem, gdy go prowadzono na miejsce kaźni. Na tych stokach stracono młodego Okrzeję. W tych kazamatach był więziony przyszły pierwszy Marszałek Polski...

Jednak — o czem zapomnieć nie wolno — cele więzienne różnych miewają gości. Tam, gdzie przed kilkunastu jeszcze laty cierpiał zwolennik czynej walki o Wolność, zaciska dziś pięści czerwony wróg polskości. W tej samej celi, w której bladła twarz polskiej nauczycielki, skazanej za szerzenie mowy ojczystej — miota się jakiś ptak niebieski, oszust, lub niebezpieczny włamywacz.



Zbrodniarz... (Fot. „Stinks").

Przez te same kraty, za któremi wypatrywał skrawka nieba redaktor niepodległościowego dziennika, patrzą dziś w niebo przekrwawione źrenice okrutnego mordercy...

I tu stajemy przed społecznem i psychologicznem zagadnieniem kary za popełnione przestępstwo — zagadnieniem trudnem i złożonem, którego rozwiązaniem zajmowały się najtęższe i najświatlejsze umysły ludzkości.

Czem winno być więzienie — domem kary, czy też domem poprawy? Kaźnią za popełnione winy, czy też mostem, przez który wiedzie powrotna droga do społeczności?

Obydwa kierunki mają swych zwolenników i, przyznać należy, obydwie strony wysuwają poważne argumenty na obronę swej tezy.

Obrońcy kierunku t. zw. „humanitarnego" są zdania, że przestępczość zmniejszy się, a nawet zniknie zupełnie w państwie, w którem wszyscy obywatele znajdą normalne warunki pracy, zarobku, oraz rozwoju umysłowego i kulturalnego. Uważają oni więzienie za tymczasowe zło konieczne. Domagają się przytem, by mu nadano przedewszystkiem charakter wzorowego domu poprawy, przyczem żądają dla przestępcy możliwie najlepszych warunków, czuwają nad higjeną więzienną, organizują pracę więźniów, zaopatrują ich w książki, urządzają specjalne przedstawienia w domach poprawy i t. p. Ponadto, uważając przestępcę za ofiarę pewnych niedomagań społecznych lub za istotę obciążoną fizycznie lub psychicznie, chcieliby widzieć go nie w więzieniu, lecz raczej w klinice lub sanatorjum. Przedewszystkiem zaś, jak np. Briand, są przeciwnikami kary śmierci.

Kierunek przeciwny, zwalczając te zapędy humanitaryzmu jako naiwną, a nawet szkodliwą słabość — jak np. Gustave Le Bon, który humanitarystów uważa wprost za największych szkodników społecznych — ustala przedewszystkiem odpowiedzialność przestępcy. „Przestępca nie jest odpowiedzialny z punktu widzenia filozoficznego, jest natomiast odpowiedzialny z punktu widzenia społecznego" — twierdzi ten sam Le Bon, jeden z najbardziej światłych, przenikliwych i trzeźwych umysłów epoki współczesnej. Tak głęboko kulturalny mąż, jak Remy de Gourmond, domaga się kar nawet dla obłąkanych i niepoczytalnych, gdyż podług niego „wszystko jedno, czy przestępca działał świadomie lub nie — w jednym i drugim wypadku jest niebezpieczny dla społeczeństwa i winien zostać z niego usunięty". Znany esseista i teatrolog francuski, Emil Faguet pisał w swoim czasie: „Aby popełnić morderstwo, które popełnił Soleilland, trzeba posiadać specjalny mlecz pacierzowy — lecz właśnie dlatego, że Soleilland taki mlecz pacierzowy posiada, trzeba mu go przetrącić". Lacassagne domaga się chłosty dla rzezimieszków, wskazując na przykład Londynu, gdzie dzięki temu systemowi „umoralniono" całe przedmieścia.

Chłosta, jako „higjeniczny, tani i celowy wymiar kary" posiada wielką ilość zwolenników. Rzezimieszek w więzieniu — mówią oni — pozuje na męczennika lub bohatera. Jego kamraci — zwłaszcza płci pięknej — czują do niego sui generis szacunek. Chłosta zaś zdziera ze złoczyńcy aureolę bohaterstwa — ośmiesza go i naraża na drwiny. Podług Maxwella groźba chłosty jest zdolna powstrzymać od zbrodni nawet obłąkanego. Kara ta zresztą do dziś dnia jest stosowana w pewnych wypadkach nawet w demokratycznej Anglji, a i w innych państwach wprowadzono ją na czas pewien w okresach wyjątkowego rozbestwienia się mętów społecznych, jak np. w Danji w 1905-ym roku.

Jakiekolwiek będzie nasze zdanie w tej sprawie, trudno jednak oprzeć się nam uczuciu wstydu i grozy na widok murów więziennych. Może dlatego, że zbyt świeżo jeszcze sami poprzez kraty niewoli śledziliśmy lot Orła Białego, pobrzękując kajdanami trzech zaborów...

Pejot.



Najstarsze we Francji więzienie „St. Lazare", opiewane przez poetów i romansopisarzy, w najbliższych miesiącach ma ulec zupełnemu zburzeniu. (Wide World Photos).



To nie fragment menażerji, lecz wnętrze więzienia w New York City, w którem skazańcy przebywają w ogromnych klatkach, zamykanych zapomocą elektryczności. (New-York-Times Photos).

Tajemnice życia i śmierci

„Wszystko, co żyje, musi umierać...".

Aforyzm ten ułatwia raz na zawsze ścisły podział pomiędzy światem żyjącym, a martwą materją, która może podlegać prawu rozkładu, nie mającemu nic wspólnego ze śmiercią. Trudnem jest natomiast wyprowadzenia linji granicznej pomiędzy stanem życia i śmierci w świecie organicznym.

Niektórzy uważają sen za rodzonego brata śmierci. Twierdzenie to opierają na naturalnem zjawisku osłabienia tętna serca, wydłużenia się przerw oddechowych, oraz znieczulenia na zjawiska zewnętrzne. Jeżeli jednak zbadamy sen zimowy zwierząt, u których temperatura ciała spada do 4 stopni niżej zera, pulsowanie zaś serca do 8 na minutę, zauważymy, że są one bardziej żywe od drobnoustrojów, przebywających całe swe istnienie w stanie *anabiosy*.

Istnieją mikroskopijnej wielkości robaczki, nie większe nad 1 mm., żyjące w kałużach i mokradłach, które zamierają z chwilą nastania upału, a co zatem idzie wyschniecia ich miejsca zamieszkania. Można z łatwością zaobserwować pod mikroskopem, na suchem szkle, jak ruchy ich stają się coraz mniej żwawe, tułów się kurczy, aż w końcu wpada w stan martwoty. Martwota ta jest pozorna. Wystarczy jed na kropla wody, ażeby robaczek zmartwychwstał i rozpoczął dalej przerwany żywot. Tego rodzaju doświadczenie można powtarzać niezliczoną ilość razy, bez żadnej szkody dla zdrowia pacjenta.

Tak samo jak wilgoć, gorąco może być lekarstwem życia. Czyta się nieraz o wężach martwych napozór, które położone przy ciepłym kominku ożywały. Można również zamrozić żaby do tego stop nia, że nogi ich będą się łamały jak suche szczapki drzewa, że pomiędzy mięśniami i skórą utworzą się bryły lodu; skoro jednak tę bryłkę lodu ogrzejemy, żaba ożyje, zacznie skakać i szukać pożywienia.

Jeden z francuskich uczonych zamroził ślimaki w temperaturze 150° niżej zera. Ślimaki te reagowały jednak na wszelkie zjawiska zewnętrzne. Świerszcze przebywające kilka lat w najniżej osiągalnej temperaturze — 272°, pod wpływem działania promieni Helium powracały do życia.

Wynika z tego, że ani sen, przypominający śmierć, ani gorąco lub mróz nie stawia przeszkód dalszemu istnieniu. Jak wobec tego określić moment przejścia w stan śmierci? Zewnętrzną jego cechą jest przecież zanik pracy serca i oddechu. Jednakże uczeni zostali zaskoczeni tutaj ciekawem zjawiskiem, że w jednym i tym samym organizmie znajdują się tkanki martwe i żywe. Znaną jest rzeczą, że u trupa rosną paznokcie i włosy. Kawałki naskórka człowieka martwego przeniesione na żyjących, wrastają w ciało. U przestępców, skazanych na ścięcie, rdzeń pacierzawy oraz serce funkcjonują po ekzekucji przez 20 minut z całą swą normalną intensywnością.

Ażeby zbadać to separatywne życie poszczególnych organów, przeprowadzono szereg bardzo ciekawych i doniosłych w skutki doświadczeń laboratoryjnych. Przeszczepiono mianowicie samicy szczura gruczoł i sutkę mleczną na konchę uszną. Operacja się udała, a gdy samica urodziła potomstwo, gruczoł wydzielał mleko, którem się młode karmiły. Przeszczepianie gruczołów tarczykowych, tak zwana małpia kuracja, wprowadzona przez dr. Woronowa, znalazła obecnie szerokie zastosowanie.

Te pierwsze doświadczenia zachęciły uczonych do dalszych badań i jeden z nich, W. Finkler zaczął przesadzać owadom głowy. Wyniki były wprost rewelacyjne. Samiec chrząszcz z „osadzoną" na tułowiu głową samiczki zdradzał inklinację do brzydkiej płci swego gatunku i odwrotnie. Dalsze doświadczenia dowiodły, że pewne organy oddzielone od całości żyją normalnem życiem, o ile są odżywiane za pośrednictwem świeżej krwi, krążącej w ich żyłach. Naprzykład serce człowieka żyło około tygodnia.



Publiczny eksperyment dokonany w Moskwie na obciętej głowie psa, która połyka kawałek ciasta. (Photo Plat).

Jednakże koroną wszystkiego było ostatnie doświadczenie, dokonane przez uczonych sowieckich Czeszulina i Brukanenko z moskiewskiego chemicznego instytutu. Obcięli oni psu głowę, poczem utrzymywali ją w stanie żyjącym, zastosowawszy całą aparaturę wstrzykującą w żyły głowy świeżą psią krew Głowa żyła, otwierała pysk, wodziła oczami w stronę ludzi wołających na nią po imieniu, a nawet łykała smaczne kąski podane przez laborantów. Również doświadczenia z dżdżownicami osiągnęły pomyślny rezultat. Mianowicie przecięto dwie dżdżownice przez pół i połączono osobno dwa odwłoki i dwie głowy z przełykami. Obie części się zrosły, przyczem odwłoki żyły tak długo, dopóki starczyło im własnego tłuszczu, głowy zaś pożerały swój codzienny pokarm.

Tego rodzaju monstra „budowane" w laboratorjach, żyjące nienormalnym, a jednak mającym wszelkie cechy normalnego życia, nie pozwalają uczonym postawić skończonej tezy życia i śmierci. Zbadanie momentu przejścia ze stanu jednego do drugiego nastręcza tyle coraz to nowych dziwów, wobec których szkiełko i skalpel uczonego jest bezsilnym.

Przyroda, która obfituje w skarbnicę nigdy niewyczerpujących się zjawisk, zazdrośnie strzeże tajemnicy życia i śmierci, najbardziej intrygujących plemię człowieka...

Zebrane powyżej i podane w streszczeniu czytelnikom „7 Dni" najnowsze zdobycze uczonych, wkraczają w krainę fantastycznych niemożliwości. Zastosowanie wszystkich odkryć w praktyce, posiada tak szeroką skalę, że trudno rokować o jego możliwościach.

O ile jednak doświadczenia, które się dotychczas udawały na zwierzętach, będzie można bez szkody dla zdrowia zastosować u ludzi, medycyna wkroczy na nowe drogi, na których znajdzie ratunek na każde cierpienie. (g).

Ława szkolna dla dorosłych

(Odpowiedzi na pytania z Nr. 23)

1) Od belgijskiego dziennikarza Cornelissena, który swego czasu ogłosił nieprawdopodobną historję o żarłoczności kaczki. Historja ta, opisana została w tak zręczny sposób, że wiele innych dzienników, w mniemaniu, że się ma do czynienia z autentycznem zdarzeniem, przedrukowało ją dosłownie. Taki był początek i taka była pierwsza wędrówka przysłowiowej „kaczki".

2) W niektórych okręgach Japonji. Zarządzenie to ma na celu bezpieczeństwo publiczne.

3) Książę Potemkin, minister dworu cesarzowej rosyjskiej Katarzyny, w przewidywaniu, że monarchini dokona inspekcji pewnych okręgów i chcąc dowieść niezwykłego rozwoju gospodarczego kraju kazał naprędce wybudować szereg wiosek, do których „delegował" na pewien czas ludność z innych okręgów.

4) W dużem Słonem Jeziorze w Ameryce, w którem szlam solny jest niezwykle gęsty.

5) Kameleon.

6) Katarzyna II była księżniczką niemiecką, a jej panieńskie nazwisko było Zofja von Antylskie).

7) Niemal u wszystkich narodów świata jajko uważane jest za symbol odradzania!

8) Od 15 do 20 stóp.

9) Tętno noworodka bije 130 do 140 na minutę, wówczas, gdy u starca zaledwie 60 — 78.

10) W mieście Siegen obok Kolonji.

11) Liberja (Gwineja) i Haiti (Wyspy Antylskie).

12) Śreżoga jest to sucha mgła, która powstaje przy pożarach trzęsawisk.

13) Podczas wojny amerykańsko - angielskiej, skrzynie z żywnością znaczone były „U. S. Am." (United States of America), stąd powstało w gwarze żołnierskiej wyrażenie „Uncle Sam" (wuj Sam).

14) Szwedzki inżynier Andrée, który w roku 1897 udał się na wolnym balonie do bieguna północnego i zaginął.

15) Afryka i południowa Ameryka.

16) Proteusz (z rodziny gadów).

17) Godzina 5 minut 55.

18) Adrian IV, zmarły w roku 1159, był jedynym papieżem pochodzenia angielskiego.

19 Jakkolwiek malarstwo olejne znane było już w XIV wieku, niemniej jednak za faktycznych wynalazców, którzy tego rodzaju malarstwo wprowadzili w użycie, uchodzą bracia Eyck.

20) W roku 1846, lekarze amerykańscy Jackson i Morton zastosowali po raz pierwszy narkozę przy operacjach chirurgicznych.

21) Poprzez podwodny otwór, znajdujący się na dnie groty.

22) W Hiszpanji leży europejskie miasto Santiago.

23) Kartofle, jako płód ziemny, znane był najwcześniej we Włoszech, gdzie je nazywano „tartufo". Nazwa ta uległa w następstwie zmianie na tartufel, potem na kartofel.

24) Król zmarł. Po arabsku „szach" oznacza król, „mat" — zmarł.

25) Od roku 1788.

Ludzie z pod mostu

(Zdj. specjalne dla „7 DNI" W. Machowskiego)



Odwiedziny sąsiadki

Nieomal w samem sercu stolicy Polski Niepodległej, pod jedną z potężnych arkad wiaduktu Ks. Józefa, u wylotu ulicy Czerwonego Krzyża, a tuż obok schodów, prowadzących wdół z powierzchni wiaduktu— od kilku już tygodni obozuje rzesza bezdomnych, dla których „ludzkiego kąta" i ludzkiego... serca zabrakło w Warszawie.

Przylepione do olbrzymiego filaru, jak gniazda jaskółcze, w chłodnym półmroku szarzeją naprędce sklecone namioty. Tuli się do tego głazu biedota warszawska, jakby ufając, że będzie on dla niej mniej twardy i mniej bezwzględny, niż okrutne wyroki eksmisyjne

Niemal z dniem każdym powiększa się to dziwne obozowisko o nową rodzinę, szukającą osłony przed deszczem pod „dachem" wiaduktu. Coraz częściej zaglądają tu nieszczęśnicy, którym wyroki sądowe wyznaczyły blizkie już nieodwołalne terminy. Bezbrzeżnie smutnemi oczyma wodzą po wilgotnych arkadach, wypatrując kąta, w którym za dni kilka złożą swe nędzne graty, ze starych sienników lub koców „budując" ściany swego nowego domostwa...

Jeszcze sześć tygodni temu mieszkała tu jedna rodzina G. P...skich — dziś gnieździ się tu już jedenaście rodzin, a więcej niż drugie tyle zapowiedziało swe przybycie w dniach najbliższych. W tym samym czasie, gdy w blaskach świateł i wdźwiękach orkiestr tętni bujne i radosne życie *„Wesołego Miasteczka"* na wspaniałej Wystawie Poznańskiej — o kilka metrów pod stopami mieszkańców Warszawy, spacerujących po wiadukcie, powoli i bezgłośnie wyrasta — *„Smutne Miasteczko"*, którego widok rumieńcem wstydu okryć powinien twarz każdego Polaka, jako żywy i bolesny dowód niedołęstwa kompetentnych czynników stolicy, które tej rozpaczliwej klęsce zaradzić nie umieją.



Przymusowe „letnisko"

*

Na szczególnie mocne podkreślenie zasługuje fakt, że wśród tych nieszczęsnych rozbitków życiowych niemasz ani jednego, któryby na swój strasz-



To nie oryginalna dekoracja teatralna, lecz prymitywne namioty bezdomnych, koczujących pod wiaduktem mostu Księcia Józefa

ny los bodaj w części przez lekkomyślność lub lenistwo zasłużył. Jest dwuch — trzech chwilowych bezrobotnych — lecz większość, to solidni i spokojni robociarze lub rzemieślnicy, którzy tylko dzięki jakiemuś fatalnemu przypadkowi stracili dach nad głową.

I podnieść trzeba, że wśród tych nieszczęśników uwijają się już agenci Czerwonej Moskwy, żerując na ludzkiej niedoli i zapewniając, że do jesieni wzdłuż całego wiaduktu rozwinie się potworny wąż namiotów bezdomnych...

Czy Warszawa nie zada im kłamu?!

Usunąć tych „ludzi z pod mostu"! Ale nie wypędzając ich w szczere pole, lecz przywracając im stracone ludzkie siedziby.

Tego od miarodajnych czynników miejskich domaga się cała zdrowa opinja publiczna!



Kuchenka pod filarem wiaduktu Ks. Poniatowskiego



Najmłodsze ofiary klęski bezdomności w Warszawie

HUMOR

„KOCHANE DZIATECZKI"



— No, dajcie sobie buzi, kochane dziateczki...

WIZJE PIJANEGO



— Co za świnie, ci ludzie! Ciągle mi łażą po stole...

MĘCZENNICZKA MODY



— Proszę pani! Pilny telefon zamiejscowy!

SPROSTOWANIE.

W artykule „Ława szkolna dla dorosłych" na stronie 17-ej wkradł się następujący błąd: odpowiedź szósta winna brzmieć „Katarzyna II była księżniczką niemiecką, a jej panieńskie nazwisko brzmiało — Zofja von Anhalt-Zerbst".

ZA NAJLEPSZY TYTUŁ 1000 ZŁ. NAGRODY

Wydawnictwo „7 DNI” ogłaszając w druku poniższą, najnowszą i specjalnie dla nas napisaną powieść utalentowanego pisarza, p. Stanisława Strump-Wojtkiewicza, pozostawia P. T. Czytelnikom znalezienie do niej najodpowiedniejszego tytułu i w tym celu ogłasza odpowiedni konkurs z nagrodą 1000 zł. W skład sądu konkursowego wchodzą pp.: Juljan Eysmond, Juljusz German, Wacław Grubiński, Marjan Hemar, Tadeusz Kończyc, Jan Piotrowski, oraz autor tej powieści.

STRESZCZENIE POPRZEDNICH ROZDZIAŁÓW

Hala Liwska ukończyła pensję. Wypadkowe spotkanie i początek flirtu z Arturem Zaliwskim, otwierają przed nią nowe horyzonty. Nić romansu nawiązana. Wtem, niespodziewanie oświadcza się o Halę stary p. Woyna. Tego samego dnia — nowa „bomba” wybucha, bo oto kuzynek Staś, złapawszy Zaliwskiego, na gorącym uczynku pocałowania Hali, zdradza zachowaniem swem, że i on kocha dziewczynę, co jej zresztą nazajutrz wyznaje. Kochają ją... Papcio nalega, by Hala przyjęła propozycję Woyny. Hala coraz częściej przebywa w towarzystwie koleżanki Aliny, śmiałej i nowoczesnej panny. Młode panny odwiedzają dawną koleżankę, Molińską, która prosto z pensji wyszła w świat..., w półświatek. Po zerwaniu z Zaliwskim rozpoczyna flirt z nowym, młodym człowiekiem, aż wreszcie, zapoznawszy się z kłopotami finansowemi Zaliwskiego, pożycza od ojca większą kwotę pieniędzy, by móc go uratować. Zaliwski odnosi część pożyczonych pieniędzy. Znów powtarzają się dziwne konkury do Hali, w których jednak mowy niema o... miłości. Wiedziona instynktem Hala postanawia wyjechać i udaje się na wieś, do koleżanki Zośki, gdzie pierwszego już wieczora spotyka Reńskiego. Po kilku dniach pobytu, otrzymuje list z domu, pod wpływem którego postanawia wrócić na jeden dzień do Warszawy. Reński ofiarowuje jej swój samochód, w którym oboje wyruszają w podróż. W Warszawie rodzice robią Hali wymówki z powodu flirtu z Zaliwskim, a papcio dowiedziawszy się o konkurach Reńskiego oświadcza, że nigdy nie zgodzi się na to małżeństwo. Hala postanawia uciec z Czerniczek do domu. Niezatelegrafowawszy po konie Hala zwraca się do znajomego technika z pobliskiej gorzelni o pomoc. Ten korzystając z wieczoru i padającego deszczu zamyka Halę na klucz w swoim pokoju i postanawia ją zdobyć. Hali udaje się wydostać z tarapatów. Ucieka pieszo do Czerniczek, gdzie po tych przejściach choruje. Zwierza się Zosice, która ją ostrzega przed Reńskim. Otrzymuje telegram wzywający ją do Warszawy. Na dworcu dowiaduje się, że Zaliwski został aresztowany i że musi go ratować. Natychmiast udaje się do urzędu śledczego, gdzie spotyka się z Zaliwskim. Ten daje jej cały szereg poleceń do regulowania spraw finansowych, które natychmiast załatwia. Spotyka się z Reńskim, z którym jedzie na obiad do Konstancina. Ulegając namowom Reńskiego jedzie z nim do Molińskiej na dancing. Na drugi dzień spotyka się z Zaliwskim wypuszczonym w międzyczasie z więzienia. Zaliwski prosi o rękę Hali i zostaje przyjęty. Zaczyna się dla Hali okres narzeczeństwa. Po pewnym czasie następuje zerwanie i powrót do Reńskiego.

(23)

— Nie przeszkadzaj, papo — jestem bardzo zajęta — powiedziała Hala dziwnie ostrym głosem, aż pan Liwski zdziwił się, ale przyzwyczajony do posłuszeństwa od lat trzydziestu, mimowolnie zrejterował przed córką, tak jak rejterował zazwyczaj przed jej energiczną matką.

— Tak — tak kochanej Halineczce to nie w smak — powtarzała Alina, złośliwie patrząc na Halę.

Hala wiedziała, że jest to sposób mówienia pana Ali. Tylko on mówił do niej w ten sposób. Hamowała swe wzburzenie. Skąd Alina zna ten wzrot?

— Alino, jesteś dziwna! Przedewszystkiem jak śmiesz mieć do mnie jakieś pretensje — ja o niczem nie wiem... A po drugie — czy może zostajesz panią Reńską? O ile wiem pan Reński ma żonę zagranicą i właśnie jest teraz u niej.

— Okłamał cię Halu — odpowiedziała twardo Alina. — Nie bądź głupia. Żonę ma i jest teraz zagranicą, ale nie z żoną, tylko z tamtą panną, którą wywiózł i zostawił tam — i ona mu teraz zagroziła otruciem się i skandalem. Co do mnie — to nie jestem żoną — ale sekretarką Reńskiego.

— Ach, tak? Cóż to za funkcja?

— Przyjmuję niektóre telefony ranne — mówiła powoli i dobitnie Alina — otwieram całą korespondencję i jeśli chcę, to ją czytam — i podziwiam głupotę niektórych.

Hala była coraz bledsza.

— Nic mnie to nie obchodzi. Nie rozumiem twoich żądań.

— Musisz zrozumieć, Halu — uprzedzam cię! Nie chcę ci nic złego zrobić — ale nie wchodź mi w paradę! Przecie ustąpiłam ci, kiedy żądałaś ode mnie, żebym zostawiła w spokoju tego smarkacza Stasia. Teraz ty musisz ustąpić mnie — słyszysz — dla mnie to bardzo ważne.

— Nic podobnego — odrzekła zapalczywie Hala. — Staś jest moim kuzynem i bałam się, że go usidlisz po swojemu — a Reński — czem jest dla ciebie — przecież mówisz, że szefem?

— Jest także moim kochankiem — rozumiesz!

— Nie prawda! — krzyknęła boleśnie Hala, aż obejrzało się kilka osób, ale natychmiast poczęło znów patrzeć na przeciwległy kraniec zielonego pola, gdzie płynęły w barwnej drgającej taśmie czerwone, żółte i niebieskie kolory jeźdźców.

Alina poczerwieniała.

— Prawda — i nie zniosę tego, żeby mu zawracała głowę inna — choćby ty. O żonę nie jestem zazdrosna — a o inne — jestem! A ty jesteś dla niego niebezpieczna. Sam mi mówił, że mu się bardzo podobasz.

Hala chciała wycofać się z rozmowy z honorem.

— I on mi się podoba — ale cóż z tego? Zwyczajna towarzyska znajomość — nie zależy mi na niej.

— Nie kłam! O — jaka ty jesteś wciąż obłudna! Przecież ja wiem: byliście dwa razy w Konstancinie, raz na statku, trzy razy u Molińskiej — a raz — Halu — jestem pewna — że to ty byłaś u niego — przyznaj się — w niedzielę w południe, co?

Serce Hali waliło jak młotem.

— Kłamiesz! kłamiesz wszystko! Nieprawda!

— Nie kłamię, wiem o wszystkiem. O — nawet ten pierścionek od Molińskiej już nosisz! Może powiedział ci — że to zaręczynowy? On tak potrafi!

— Pierścionek... kupiłam — Hala śpiesznie naciągnęła rękawiczkę.

— Za ile? O patrz — czerwony bierze. Na kogo stawiałaś?

Alina podjęła rozmowę.

— Radzę ci — wychodź za mąż — i nie rób konkurencji nam, kobietom — jak sama mówisz — lekkim. Założę się zresztą, że nawet kochanką dobrą nie potrafisz być — bo ty właściwie nic nie możesz czuć! Malowana lala — a jaka dumna przytem! No — skończyło się już, zdaje się — z twoją cnotą — pisz na ten wasz kresowy Berdyczów.

Hala nagle odeszła od barjery.

— Pamiętaj — uprzedziłam cię — zabrzmiał zły głos Aliny.

Hala chodziła wśród rozgorączkowanego tłumu jakby ogłuszona. Poczucie krzywdy niezasłużonej i niespodziewanej spotęgowane było wstrętem do sposobu i formy, w jaką Alina ujęła sprawy, najbardziej bliskie i drogie sercu. — Przepadło — wszystko przepadło — myślała Hala, czując że nie zdoła już uratować dla siebie nawet wspomnień. To co było czyste, stało się naraz brudne, wstrętne. Nikt trzeci nie powinien wiedzieć o miłości. Jakże Alina śmiała zwracać się w taki sposób! Jakże to wszystko źle świadczy o Reńskim! Ach, podli, podli.

— Ach — nienawidzę go teraz.

Wielkiem półkolem defilowały konie. Hala przystanęła i patrzyła, pragnąc się uspokoić.

— Którego radzisz mi — spytał głos Zaliwskiego.

Hala odwróciła się.

— Dzień dobry, Arturze — postaw na trójkę może — ale dlaczego ty grasz? — obiecałeś mi kiedyś.

— Bo opuściłaś mnie — odrzuciłaś — niedobra Halu.

— Ach, nie — tylko — tylko —

Głos Hali zadrżał.

— Ty płaczesz, Halu — płaczesz — dlaczego?

— Wyprowadź mnie stąd.

Gdzieś na ławeczce, zdala od tłumu i kas, wielka przykrość doznana przez Halę, znalazła ujście we łzach. Zaliwski siedział obok zamyślony.

— Znów zacząłem iść złą drogą, Halu — powiedział. — Odkąd odrzuciłaś mnie — wiele się zmieniło — na gorsze — samotność mnie zabija — już nie studjuję — i znów —

Hala rozumiała to: w tej chwili była samotna, zabłąkana, bez oparcia, które nagle znikło.

— I ja jestem sama i biedna, bardzo biedna — powiedziała i położyła współczującą rękę na ramieniu Zaliwskiego.

XVI.

Hala nie mogła znaleźć dość siły, żeby samodzielnie przetrwać smutną klęskę, poniesioną przez jej uczucia. Incydent z Aliną rzucił na sytuację światło jaskrawe i w świetle tym zaczerniły się długie, ponure, niemal żałobne cienie, padające na cały ubiegły okres. Przeskok od szczęścia do rzeczywistości był tak nagły i nieznośny, że niepodobna było o nim myśleć bez szalonego bicia serca i łykania ogromnych, tamujących oddech łez. Zresztą łzy te były symboliczne: Hala właściwie nie płakała, tylko uczuwała w krtani jakąś nieznośną kulę, która dławiła spazmem wewnętrznego płaczu. W niektórych chwilach, zdarzających się nawet podczas wytężonej pracy w nowem biurze, trzeba było usilnie rozcierać skronie i czoło — i rzecz dziwna — ten mechaniczny sposób rozwiewał myśli nieznośnie, wirujące gdzieś wysoko w głowie, lub opadające ciężarem okropnym nad same oczy. Szum w uszach niczem tragiczna muzyka, męczył również Halę i przytępiał w niej wiosenną radość, za którą dotychczas była kochana przez wszystkich i przez samą siebie.

— Z tem upośledzeniem, z tą rozpaczą muszę przecież skończyć — pomyślała w pewnej chwili, zniecierpliwiona do ostateczności. Istotnie, był na to czas najwyższy, jeśli się nie miała z pięknej i żywej panny stać zgorzkniałą, zrozpaczoną, beznadziejną pokutnicą. Nie sposób wyrzekać się szczęścia, a choćby jego pozorów — z powodu niefortunnego ulokowania swych uczuć. Należało dać sobie rady samej, lub poszukać pomocy z zewnątrz, jeśli nie można inaczej.

Papciowi ani tem bardziej mamie nie mogą nic mówić, bo zabardzo by się zmartwili — myślała Hala. Myśl o wyspowiadaniu się została przez Halę odrzucona. Wydawało się to dla niej niemożliwością tak nisko upaść w oczach księdza prefekta, dotychczasowego spowiednika Hali. — Jeślibym zaś poszła do innego księdza, coby się rychło wydało — bo zresztą wygadałabym się sama, to dałoby to również wiele do myślenia i rodzicom i — innym. Zresztą czuję, że na razie przeszłoby mi to wszystko przez gardło. Muszę tymczasem nieść sama swoje grzechy.

Tu Hala zastanowiła się nad myślą, że dopiero porządne zabrnięcie w grzech i pewne oswojenie się z nim pozwala na jako - takie wyjąkanie spowiednikowi przewiny. Natury z gruntu uczciwe i porządne, a Hala uważała się za bardzo porządną i uczciwą, z wielkim trudem godzą się z własnemi niedoskonałościami. Powiedzieć o sobie złą prawdę, oskarżyć się znaczyłoby pożegnać się ostatecznie z jasną, niewinną przeszłością — a sama myśl o tem pogrążała Halę w zwątpienie i rozpacz.

— Zresztą — nie jestem znów taka winna — i nie taka znów gorsza od tych wszystkich —

„Te wszystkie” nowe koleżanki Hali w wielkim banku nie były istotnie „lepsze” od Hali. Na czele legjonu młodych i średnich, pięknych i brzydkich, zgrabnych i niezgrabnych pracowniczek stała reklamowana, jako piękność, wysoka blondynka o pospolitej, zwykłej urodzie. Była to osoba młoda, przedsiębiorcza, świetnie się ubierająca i równie

świetnie znająca mężczyzn i sposoby postępowania z nimi. O powodzeniu jej krążyły legendy tego rodzaju, że Hala witała się początkowo z pewnem zażenowaniem z tą, uznaną za najwyższy autorytet starszą koleżanką. Koleżanka, zwana teraz dla odróżnienia od Hali „starszą Halą", szybko wzięła „młodszą Halę" pod kuratelę, narzucając jej przejście na „ty" i rozmowy, pełne zwierzeń o strojach, mężczyznach biurowych, życiu koleżanek. Starsza pani Hala wprowadziła jednem słowem młodszą pannę Halę w kurs spraw bankowych i prywatnych, urzędniczych.

— Jesteś śliczna i miła, tylko widać, że jeszcze nowicjuszka we wszystkiem. Powiedz prawdę, kochałaś się — tak naprawdę? badała Halę.

Zarazem dla zachęty opowiedziała Hali historję swego pierwszego zamążpójścia i pierwszej zdrady i rozwodu i drugiego zamążpójścia i drugiego rozwodu i wszystkich, trafiających się po drodze, miłostek. Hala z przerażeniem naliczyła, że piękna przywódczyni urzędniczek chlubi się przeszło tuzinem „zwycięstw" nad mężczyznami. Pani „Hala starsza" istotnie chlubiła się tem, lekceważąco traktując nowicjuszki i skromnisie i dając do zrozumienia Hali, że jeśli ją wyróżnią, to dlatego, że spodziewa się po niej „nowoczesnego" pojmowania życia. Obecnie języczek starszej pani Haliny obracał się nieustannie około osoby jej nowego narzeczonego, zwanego w biurze „Jędrusiem". Całe biuro wiedziało dokładnie, jak ów Jędruś kocha panią Halę, jakiego kupił jej lisa i ile wydał na ostatnią kolację. Wiele nowicjuszek zazdrościło starszej pani Hali tak hojnego narzeczonego, a okoliczność, że narzeczeni już zamieszkali razem, tylko z początku skandalizowała co starsze i poważniejsze urzędniczki.

Z kolei Hala Liwska przyjrzała się i innym koleżankom. Była tam taka, o której mówiono, że się poprostu sprzedaje „każdemu pierwszemu lepszemu" i taka, która pożyczała kolegom i koleżankom na lichwiarski procent jakieś tajemnicze sumy i takie, które były dawnemi „flammami" dyrektorów i takie, do których szefowie dopiero zaczynali się zalecać. Była śliczna, młoda panieneczka, do której Hala poczuła sentyment — i z żalem skonstatowała, że to młode, śliczne i dobre stworzenie coraz bardziej spada pod wpływ starszej pani Haliny i jej przyjaciółek.

Do kobiet tego rodzaju przychodzili mężczyźni biurowi — referenci, sekretarze i buchalterzy — i nie krępowali się bynajmniej. Hala była świadkiem rozmów bardzo frywolnych i gestów nieraz wulgarnych. Pewien urzędnik miał miły zwyczaj opowiadania maszynistkom o swoich kochankach; inny nie krępując się, brał opasłą panią Klarę za pierś i wyciskał na niej żartobliwy pocałunek. Chwytanie wpół należało do rzeczy codziennych; w opowiadaniu pieprznych historyjek celowało kilka urzędniczek, a nad pierwszemi i ostatniemi stronami sensacyjnych dzienników rozwijały się dyskusje, od których puchły uszy.

Z radością odnalazła Hala w tem morzu brudnej pospolitości także i jasne charaktery poważnych mężatek, pomagających swą pracą mężowi; starszych pań, z któremi się liczono najmniej, a które najwydatniej i najpoważniej potrafiły pracować; urzędników wykształconych i solidnych; urzędniczki biedne, ale pracowite, poczciwe i skromne. Kilka narzeczeństw i kilka małżeństw żyło swoim życiem wewnętrznem, mało dbając o „biurową hałastrę" jak Hala określiła świat tamten, nieustannie plotkujący, szukający żeru dla wiecznie głodnej obmowy, rozpanoszony i rozwydrzony — a wystrojony tak wyzywająco, że musiano wreszcie wydać okólnik dla pań o noszeniu jednakowych fartuchów. Wobec tego zjawiły się istne arcydzieła: czarne króciótkie fartuszki z jedwabiu, upiększone skromnie zarazem wyzywające krojem i właśnie za sprawą takiego niby skromnego fartuszka starsza pani Halina odniosła nowe swoje „zwycięstwo" nad jednym z najbardziej surowych i niedostępnych dyrektorów. Stało się to naturalnie podczas nieobecności „Jędrusia", który zresztą schodził coraz bardziej z widowni.

Hala rychło utrwaliła swe odrębne stanowisko w biurze, parę razy ostro upomniawszy zbyt wesołe towarzystwo o liczenie się ze słowami i gestami. Ktoś odpowiedział, że przecież nikt jej samej nie rusza. Hala Liwska odparła, że żąda stanowczo dżentelmenerii i szacunku dla siebie i koleżanek i że dziwi się tym paniom, które nie dbają o przyzwoitość. Na skutek takiej gromkiej enuncjacji trwały czas jakiś szeptania po kątach i urągania na „świętoszkę" i „zacofaną niewinność", ale wkrótce gadania ustały a w obecności Hali nie działo się już nic nieprzyjemnego. W ten sposób obok autorytetu starszej pani Haliny powstał autorytet panny Liwskiej, poparty przez „elementy konserwatywne". Starsza pani Halina szydziła nie bez pewnej słuszności, że za Halą poszły wszystkie — brzydkie i stare.





Biegły dni jeden po drugim, — jednakowe i jesienne. Jedynemi sensacjami były w biurze: awanse, podwyżki, zastępstwa, trzynaste i czternaste pensje, bilansowe, pozabiurówki. Czasami zachorował lub umarł ktoś z innego wydziału, czasami zbierano składkę na prezenty imieninowe lub na cele społeczne; często oblegano hurtem handlarkę, która przyniosła pończochy, lub przekupnia grzebieni i perfum. Niektórym urzędniczkom przybywało zmarszczek, niektóre zaczynały się malować, inne wychodziły zamąż, jeszcze inne zmieniały narzeczonych, co poznać było łatwo przy wyjściu z biura: widziało się wtedy nowego narzeczonego i przez kilka dni mówiło o tem, czy jest przystojny, czy dobrze ubrany i ile zarabia.

Na Halę czekał zwykle Zaliwski i odprowadzał do domu, nieraz zostając u Liwskich na obiedzie. Hala przyzwyczaiła się do Artura, do jego opieki, adoracji, pocałunków. Z natury, tęskniąca do wiernych, stałych uczuć łatwiej jej było być znów narzeczoną swojego dawnego Zaliwskiego niż szukać innych samodzielnych dróg — i innej miłości. Zdawało się zresztą Hali, że istotnie kocha Zaliwskiego, bo nie można było go nie kochać za cierpliwe i stałe uczucie, którem obdarzał Halę i za „przykrości", które poniósł. Związało nas wiele wspólnych cierpień — powiedziała kiedyś Zaliwskiemu, który zrozumiał to na swój sposób. Uważał mianowicie, że Halę na pewien czas odstręczyły jego konflikty z prawem. Teraz trochę się uczył, trochę zarabiał pośrednictwem, a jednocześnie wciąż marzył o znalezieniu dobrej idei lub pieniędzy dla stworzenia wielkiego interesu. Dotychczas udawało się wpaść na trop niejednego, niesłychanie obiecującego pomysłu, ale natomiast trudniej było o środki na jego zrealizowanie. W dodatku należało regulować stare długi— i w ten sposób kosztowności Hali, zastawione u Rajchmana — przepadły. Hala jednak nie miała o to żalu, a Zaliwski pocieszył się obietnicą, że wkrótce wszystko odkupi, albo podaruje Hali — już jako swej żonie — jeszcze piękniejsze kolczyki, pierścionki i bransoletki.

Tymczasem połowa każdej pensji Halinej szła na potrzeby Zaliwskiego. Czasem trzeba było zapłacić jakieś procenty, czasem kupić trzewiki, bo stare były niemożliwe, lub krawat, bo obrzydł samej Hali. Większą pożyczkę uzyskaną z biura oddała Hala na zaspokojenie pewnego, najbardziej niecierpliwego dłużnika, a w pewnej — znów krytycznej chwili — gdy Zaliwski się poskarżył, że nie ma czem opłacić wpisu i kosztów egzaminacyjnych — trzeba było zapożyczyć się u koleżanki, dającej na lichwiarski procent. Pensja Hali znacznie zmalała wobec tego obciążenia, a pani Liwska nadaremnie wypytywała Halę, co robi ze swoimi pieniędzmi, skoro nic dla siebie nie kupuje i po staremu nawet na drobne wydatki przyjmuje sumki od papcia.

Ślub Zaliwskiego i Liwskiej był wyznaczony na jeden z ostatnich dni karnawału i dopiero teraz Liwscy, widząc, że Hala trwa w zamiarze wyjścia zamąż, zaczęli się naprawdę niepokoić. Zaliwski był dobry jako „piorunochron" od Reńskiego, o którego przygodach miłosnych głośno było w Warszawie, ale jako epuzer nie przedstawiał wartości i przyszłość córki nie mogła się Liwskim wydawać radosną. Ostatecznie do pewnego stopnia może być nieźle — mawiał papcio coraz bardziej zasępiony. Zamierzał nieraz pomówić poważnie z Zaliwskim, wytłomaczyć mu, że powinien uczciwie zaczekać, aż skończy wyższą szkołę — ale Hala tak manewrowała, że papcio nie miał sposobności pomówić z Zaliwskim sam na sam.

Natomiast jej własne „sam na sam" z Zaliwskim były coraz częstsze i coraz bardziej się przedłużały. Nieznośne reminiscencje zawiedzionej i nagle przerwanej miłości obarczały senną Halę męczącemi wizjami, a w dnie, nawet najbardziej pracowite, uderzały do głowy bolesnem wołaniem krwi. Na horyzoncie marzeń miłosnych był wciąż pan Ala, z jego nieodpartym wdziękiem. Jedynem skutecznem lekarstwem na zapomnienie i ulgę okazał się Zaliwski, coraz bardziej niecierpliwy i natarczywy.

— Przecież — przecież — Halu — ślub nasz prędko — mówił w nieprzytomnem pożądaniu, mocując się z jej oporem .

Hala leniwie myślała o swoich koleżankach z pensji i biura, które tak łatwo rozgrzeszają siebie i inne kobiety; pomyślała też o swoim straconem szczęściu i o tem — że nie ma właściwie powodu do tak upartej obrony — i o tem — że skoro Zaliwski ma być jej mężem, to niechby się stało wreszcie — i o tem, że coraz trudniej jest walczyć z nim i z własną, coraz to bezwładniejszą niemocą. Tak — Hala nie czuła pożądania — była to tylko niemoc, skuwająca łańcuchem członki i wolę.

— A — nie opuścisz mnie? — spytała szeptem — nie opuścisz? Nigdy? — powiedz — bo przecież...

Ogarnięty uniesieniem, nie wierząc swemu szczęściu przysięgał jej na zawsze miłość i siebie — i pełen grozy wewnętrznej zdobywał nagość i wstyd Hali, zakrywającej rękami twarz i oczy.

Zamienił się potem w prawdziwego niewolnika kroczącego śladami swojej pani. Rządziła nim i jego sprawami bezapelacyjnie kierowała każdym krokiem. Ich spotkania, zawsze w pokoju Zaliwskiego, były rzadkie ale regularne i Hala sama wybierała chwile, któremi miała obdarzyć pragnienie Artura. Razu pewnego ośmielił się zapytać, a raczej zająknąć — czy Hala właściwie jest jego i wyłącznie jego dziewczyną i czy może przedtem... ale Hala odpowiedziała mu chłodno i energicznie, że roi sobie głupstwa i niech je sobie wyperswaduje. Wtrącanie się Zaliwskiego do jej osobistych spraw wydało się nieledwie obelgą i gdy przerażony nagłą zmianą tonu czułego na gniewny ostry przepraszał, zamknęła mu na znak przebaczenia, usta swoją maleńką rączką. W ten sposób zakończył się incydent, którego widmo jeszcze dawniej niepokoiło Halę.

(d. c. n.)

7 DNI NASZEGO CZYTELNIKA

KALENDARZYK TYGODNIOWY

7 N Cyryla
8 P Elżbiety
9 W Weroniki
10 S 7 br. męczenn.
11 C Pelagji
12 P Jana Gwalberta
13 S Małgorzaty

KALENDARZYK ASTRONOMICZNY

Słońce w.	Słońce z.	Księżyc w.	Księżyc z.
3 24	19 57	3 42	21 37
3 25	19 57	5 08	22 10
3 26	19 56	6 40	22 32
3 27	19 55	8 10	22 50
3 28	19 50	9 36	21 03
3 29	19 55	10 56	21 10
3 30	19 53	12 13	21 28

KALENDARZYK SPORTOWY.

7 VII — lekkoatletyczne zawody robotnicze o mistrzostwo Polski.

12.VII — kobiece mistrzostwa lekkoatletyczne w Poznaniu.

13.VII — mecz lekkoatletyczny Polska — Rumunja we Lwowie.

12.VII—14 VII — kobiece mistrzostwa w Warszawie.

7.VII — mecz piłkarski Kraków — Budapeszt w Krakowie.

12.VII—14.VII — finałowy mecz o puhar Davisa pomiędzy Anglją i Niemcami.

TABELA LIGOWA

(C-S) Tabela ligowa przedstawia się następująco: 1) Warta 12 gier — 61 pkt., st. br. 33:19. 2) Wisła 11 gier — 15 p., st. br. 33:20. 3) ŁKS 11 gier — 14 p., st. br. 18:11. 4) Czarni 6 gier — 11 p., st. br. 29:21. 5) Cracovia 11 gier — 11 p., st. br. 21:18. 6) Garbarnia 11 gier — 11 p., st. br. 28:26. 7) Ruch 9 gier — 10 p., st. br. 17:16. 8) Legja 11 gier — 9 p., st. br. 15:17. 9) FG 9 gier 9 p., st. br. 12:15. 10) Warszawianka 8 gier — 8 p., st. br. 12:14. 11) Turyści 10 gier — 8 p., st. br. 13:20. 12) Pogoń 9 gier — 5 p., st. br. 16:22. 13) Polonia 10 gier — 5 p., st. br. 18:27. Mecz Pogoń — 1 FC nie jest w tabeli uwzględniony.

TEATR

WIELKI

4 b. m. Megae i Wyzwolony.
5 b. m. Casanowa.
6 b. m. Verbum Nobile. Kupała. Wesele na wsi.
7 b. m. Balladyna.
8 b. m. nieczynny.

NARODOWY

4 b. m. Król Stefan Batory.
od dn. 5 b. m. Adwokat i róże.

LETNI

„W czepku urodzony", W. Rapackiego.

POLSKI

„Wielki Kram" Bernard Shaw.

MAŁY

„Śluby Panieńskie" A. Fredry.

Radjo - Ogród Philipsa (Mazowiecka 9)

Codziennie oprócz poniedziałków Koncert - Dancing od godz. 17-ej do 22-ej.

MORSKIE OKO

„Warszawa w Kwiatach"

OPERETKA L. MESAL

„Boska Noc"

QUI PRO QUO

Gościnne występy krakowskiego teatru rewji „Gong" — „Tili-Bom"

KINO

Hollywood: „Królowa Jazzbandu" z Lyą Marą.

Colosseum: „Zapomnisz o mnie" z Ricardo Cortezem.

Capitol: „Dalsze dzieje Tarzana".

Casino: „Wino Miłości" z Xenią Desni.

Splendid: „Kobieta Sfinks" z Clarą Bow.

Stylowy: „Czarny Orzeł" z Rudolfem Valentino.

Filharmonja: „Jarmark Miłości". z Coleen Moore.

Apollo: „Uwiedziona Kochanka" z Renee Adoree.

Wodewil: „Tajemnica Pani Mary".

Światowid: „Dlaczego kobieta zdradza" z Emilem Jannigsem i Conradem Veidtem.

Pan: „Pat i Patachon" jako „Strażnicy Cnoty".

Palace: „Zabawa w miłość"

RUCH NA P. W. K.

Dnia 10 lipca przyjeżdża do Poznania na Powszechną Wystawę Krajową wycieczka uczniów szkół wydziałowych z Budapesztu (Węgry) w liczbie 50 osób. Wycieczka zamieszka w kwaterach Kuratorjum przy ul. Matejki 8.

PODHALE NA P.W.K.

Dnia 9 lipca wyjeżdża do Poznania grupa ludności góralskiej z Poronina. Wycieczkę tę organizuje Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej, pod kierunkiem ks. katechety Stanisława Słonki. Grupa ta zabawi w Poznaniu kilka dni, dając na zaproszenie Teatru Szkolnego na P.W.K. szereg regjonalnych widowisk. Wystawione zastawione zostanie „Wesele Góralskie", sztuka napisana w gwarze góralskiej przez prof. Tadeusza Szymańskiego z Zakopanego. W akcie trzecim huczne wesele, urozmaicone śpiewami i przeplecione tańcami, jak „zbójnicki", „drobny", „krzesany" i t. d. Przygrywać do nich będzie niezrównany stary kobziarz z Poronina, Mróz.

To co największe...



Podróżnika, odwiedzającego zatokę Honolulu na archipelagu Hawajskim wita na samym wstępie wieża ciśnień zbudowana w kształcie ananasa. Wieża ta ze stali mieści w sobie 100.000 gallonów wody. (Atlantic)



Wbrew odwiecznym kanonom rasy białej, wbrew modzie i zdrowemu sensowi, dr. Adalbert Smith urządził w Chicago oryginalny konkurs największych i najgłośniejszych „buź" niewieścich. Do konkursu stanęło około tysiąca przedstawicielek płci (niezawsze!) pięknej — a oto zdobywczynie czterech pierwszych nagród. Wątpić należy, czy znajdzie się taki śmiałek na świecie, któryby stanął z jedną z nich na ślubnym kobiercu... (Wide World Photos)



Fotografja nasza przedstawia największy drapacz chmur w New Jorku należący do Banku Manhattan Company. Kolos ten wznosi się na wysokość 840 stóp ponad poziom ulicy i posiada 63 pięter. (Atlantic)

NAJPIĘKNIEJSZE DZIECKO POLSKIE

ODNAJDĄ CZYTELNICY „SIEDMIU DNI"

(p. str. 2 tego numeru).



Trzej członkowie amerykańskiego „klubu grubasów" podczas swej codziennej kąpieli słonecznej. Na naszej fotografji widzimy od strony lewej: Hiljarda Karra wagi 350 funtów, Franka Alexandra — 465 f. i Kerpie Billa Ross'a — 380 f. (Atlantic).

„7 DNI" wychodzi co czwartek w Warszawie — Krakowie — Poznaniu — Lwowie i Wilnie
Prenumerata kwartalna: 6.50 złotych, półroczna 12.50 złotych wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2.
Tel. 525-85 i 72-85. Konto P. K. O. 19.447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sładowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy.
Redaktor naczelny: JAN PIOTROWSKI Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka Sp. z ogr. odp.
Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 172-22 i 117-98.